# CZWARTA KOMPANIA

## Rejon „Dęby”

## ARMII KRAJOWEJ

WYDAWNICTWO POD PATRONATEM
BURMISTRZA HALINOWA

# CZWARTA KOMPANIA

## Rejon „Dęby”

## ARMII KRAJOWEJ

Pierwsze wydanie: Wesoła - Halinów 1996
Drugie wydanie: Halinów 2020

**HALINÓW 2020**

Projekt okładki: Andrzej K. Chojecki
Redaktor techniczny: Andrzej Bojanowski
Korekta: Danuta Wąsiewska

**Komitet Redakcyjny:**

Jan Kowalski
Ryszard Roś
Andrzej Klimm

**Wydawca pierwszego wydania:**
Wydawnictwo „Razem”,
05-075 Wesoła, ul. I Praskiego Pułku 5
tel/fax 773-40-51

**ISBN 83-903685-4-4**

**Wydawca drugiego wydania:**
Gminne Centrum Kultury,
ul. Rynek 46/2 05-079 Okuniew, Gmina Halinów

**Skład i aktualizacja graficzna drugiego wydania:**
studio T2 Tomasz Tomkiewicz

# CZWARTA KOMPANIA

# Jak to się zaczęło

W latach 90-tych ubiegłego wieku wydawnictwo „Razem" z Wesołej wydawało lokalną gazetę „18 km od centrum", obejmującą swoim zasięgiem Wesołą, Sulejówek i Halinów. Poza gazetą, wydaliśmy w 1993 roku książeczkę „V kompania Rejon Dęby AK". Ta praca zbiorowa zawierała wspomnienia kilkunastu byłych żołnierzy AK z oddziału obejmującego Wesołą i Sulejówek. Była to pierwsza po niemal 50 latach próba przypomnienia o istnieniu tego oddziału. Próba tym cenniejszą, że dokonana przez ponad siedemdziesięcioletnich wówczas, bezpośrednich uczestników tamtych wydarzeń, z techniczną i finansową pomocą naszego wydawnictwa. Nakład był niewielki, książeczka przypominała raczej broszurę, nie było ilustracji. Tym niemniej było to – w co trudno uwierzyć – pierwsze wydawnictwo o ruchu oporu w naszych okolicach.

Pod koniec roku 1994 w redakcji zjawił się szczupły, starszy mężczyzna. Miał tylko jedno pytanie. Czy moglibyśmy pomóc wydać podobne opracowanie, traktujące o obszarze Halinowa, gdzie istniała i działała IV kompania tego samego pułku „Dęby", mającego sztab w Rembertowie. W ten sposób poznałem Jana Kowalskiego, w czasie wojny plutonowego podchorążego, a później porucznika o pseudonimie „Lis", dowódcę jednego z plutonów tejże kompanii.

Od tego zaczęła się moja redakcyjna współpraca z p. Janem Kowalskim i p. Ryszardem Rosiem. P. Kowalski spisywał swoje wspomnienia oraz zbierał wspomnienia od znanych mu byłych żołnierzy podziemia. Siłą rzeczy, w większości znał tylko swoich dawnych podkomendnych. Wymogi konspiracji i czas zatarły w pamięci inne nazwiska. Nie wszyscy też uczestnicy tamtych wydarzeń chcieli do nich wracać. To było dopiero kilka lat po przemianie ustrojowej, a 45 lat PRL odcisnęło swoje bardzo głębokie piętno także na niegdysiejszych bohaterach. P. Roś, któremu zdrowie nie pozwalało na czynny udział w zbieraniu relacji, konsultował i korygował zebrane wspomnienia. Wszystkie prace wydawnicze wykonane zostały siłami redakcji. Koszt pokryło wydawnictwo.

W ten sposób ocalony został od zapomnienia oddział Armii Krajowej, działający w konspiracji na terenie Halinowa i okolic. Nie udało się wówczas ustalić nazwisk i pseudonimów wszystkich

członków IV kompanii. Znane są tylko w miarę pełne składy jednego z jego trzech plutonów – plutonu 763 i sekcji sanitarnej. Jest to jednak dowód na to, że 67 osób znanych i znacznie większa liczba jeszcze nieznanych stawiło w czasie wojny opór okupantowi. Według pobieżnych szacunków osób tych mogło być nawet około 200. To dużo, jak na tak niewielki obszar.

Wydana broszura „IV Kompania" miała być początkiem działań, mających na celu odtworzenie pamięci o pozostałych plutonach kompanii. Niestety, odzew społeczny był niewielki, a wkrótce po jej wydaniu p. Jan Kowalski zmarł, nie znajdując swego następcy. W ten sposób do dziś znamy jedynie dokonania jednego z (prawdopodobnie) trzech plutonów kompanii AK, działającej na terenie Halinowa i okolicznych wsi.

Minęło 25 lat. Czasy się zmieniły, Samorząd Gminy Halinów postanowił przypomnieć chwalebne chwile z przeszłości i wznawia nasze opracowanie. Chciałbym mieć nadzieję, że w wyniku tego działania znajdą się nasi naśladowcy i wskrzeszą pamięć o całej IV kompanii i o wszystkich szarych bohaterach tamtych dni. Tych bohaterów już nie ma z nami, ale pozostały ich rodziny. Pozostały też – pamięć i szacunek. To sól tej ziemi i chwała tej ziemi.

Andrzej Klimm

(Komitet Redakcyjny I wydania)

Wesoła, grudzień 2020

# Drodzy Mieszkańcy Gminy Halinów

Mamy wielki zaszczyt oddać w Państwa ręce wydawnictwo, które na naszym lokalnym rynku historycznym, możemy traktować jak „białego kruka". Po niemal pół wieku Gminne Centrum Kultury wznawia broszurę „IV Kompania" Rejon „Dęby" Armii Krajowej, która opisuje działania podejmowane na terenie Gminy Halinów i okolic przez polskich żołnierzy przeciwko okupantowi niemieckiemu. Opisy akcji partyzanckich pochodzą z lat 1940-1944, a ich odtworzenie było możliwe głównie dzięki inicjatywie por. Jana Kowalskiego ps. „Lis", urodzonego na Zastawiu (dzisiejszym Kazimierowie).

Broszura zawiera nazwiska, pseudonimy i pełnione funkcje 60 żołnierzy z naszego terenu, dodatkowo 7 sanitariuszek z sekcji sanitarnej IV Kompanii, daty akcji z dokładnym ich przebiegiem. Są to relacje osób, które brały w nich udział. Dlatego – jako Burmistrz, ale też historyk z wykształcenia – wiem, jak cenne jest to wydawnictwo.

Miło mi, że w wydawnictwie znalazły się wcześniej nie publikowane wspomnienia o moim dziadku Stefanie Ciszkowskim, żołnierzu AK i pierwszym kierowniku Szkoły w Brzezinach.

Życzę dobrej lektury i zachęcam do czytania jej przez młode pokolenie urodzone w niepodległej Polsce. Niech pamięć o naszych bohaterach trwa i będzie przekazywana.

Przy okazji chciałbym podziękować pani Annie Dziemskiej, córce Stanisława Kozłowskiego – Żołnierza AK z Wielgolasu Duchnowskiego za podjęcie inicjatywy wznowienia wydawnictwa oraz panu Andrzejowi Klimmowi – który był w komitecie redakcyjnym pierwszego wydania z 1996 r. za wsparcie dla reedycji wraz z uzupełnieniami poniższego wydania. Podziękowanie należy się również dyrektorowi GCK Dariuszowi Kowalczykowi za organizację i zrealizowanie całej inicjatywy.

Burmistrz Halinowa

Adam Ciszkowski

# Od Wydawcy

W roku 1993 oddany został w ręce Czytelników zeszyt zatytułowany „V KOMPANIA Rejon Dęby AK". Było to pierwsze wydawnictwo, zawierające wspomnienia byłych żołnierzy III Rejonu „Dęby" (Rembertów) VII Obwodu „Obroża" (Warszawa – powiat) Armii Krajowej. Wspominali dawni żołnierze V kompanii, obejmującej teren Wesołej, Sulejówka, Starej Miłosny i Woli Grzybowskiej.

Obecnie przedstawiamy kolejne wydawnictwo, zatytułowane „IV KOMPANIA Rejon Dęby AK", zawierające wspomnienia byłych żołnierzy IV kompanii Rejonu „Dęby" z terenów obejmujących w przybliżeniu dzisiejszą gminę Halinów – od Sulejówka na zachodzie do Dębego Wielkiego na wschodzie i od Okuniewa na północy do Wielgolasu na południu.

Z posiadanych materiałów udało się odtworzyć z dużą dokładnością stan osobowy i działalność 763 plutonu i jego oddziału dywersji bojowej. Kolosalną zasługę ma w tym dziele dowódca plutonu, p. Jan Kowalski ps. „Lis", który wraz z p. Ryszardem Rosiem ps. „Bartosz", dowódcą IV kompanii, zebrał i zweryfikował odpowiednie materiały.

Należy mieć nadzieję, że i pozostałe plutony zostaną w przyszłości opracowane równie znakomicie.

# Słowo wstępne

Tragedia, jaką przeżył naród polski we wrześniu 1939r. spowodowała ogromne zmiany w naszym życiu gospodarczym, społecznym, politycznym i kulturalnym. Nie trzeba było długo czekać na podobną tragedię Francji, która ostatecznie przekreśliła nasze nadzieje na rychłą pomoc Aliantów. Świadomość tego faktu oraz potworny terror i planowe wyniszczanie naszego narodu nie złamało go jednak, ale przeciwnie – nastrajało do nieugiętej walki, aż do ostatecznego zwycięstwa. Społeczeństwo nasze zdawało sobie z tego sprawę, że walka z okupantem będzie bardzo ciężka i długa. My, żołnierze września, najlepiej wiedzieliśmy o tym, że po przegranej wojnie z najeźdźcą walka będzie toczyła się dalej, aż do zwycięskiego końca. Takie przyrzeczenie złożyliśmy Ojczyźnie jeszcze na polu walki.

W niektórych rejonach Polski, a głównie w dużych miastach, niemal następnego dnia po przegranej wojnie, był organizowany ruch oporu przeciw okupantowi. Na naszym terenie może nie bezpośrednio po wrześniu, ale już w pierwszej połowie 1940r. powstały zręby organizacji podziemnej o nazwie Związek Walki Zbrojnej (ZWZ).

Organizacja ta przeniknęła do nas z powiatu Mińsk Mazowiecki, który tworzył tzw. Obwód o nazwie „Mewa". Obwód ten nie pokrywał się dokładnie z terenem powiatu Mińsk Mazowiecki, ale zajmował także część powiatu warszawskiego. Dlatego późniejszy mój pluton znajdował się na terenach obu wymienionych powiatów, co dopiero w 1943r, po powstaniu Armii Krajowej, zostało skorygowane, zgodnie z obszarami powiatów i stąd przyłączenie większej części plutonu do Rejonu „Dęby" – Rembertów.

Pierwsze kontakty z Obwodem „Mewa" nastąpiły dzięki nauczycielowi Jankowskiemu, pracującemu w czteroklasowej szkole podstawowej we wsi Chobot oraz lekarzowi stomatologowi Rainke i jego synom, zamieszkałym we wsi Mrowiska pow. Mińsk Maz. Byli to ludzie wysiedleni z Bydgoszczy do tzw. Generalnej Guberni. Z racji swoich zawodów mieli oni styczność z wieloma ludźmi z okolicznych miejscowości i w ten sposób trafili do organizacji podziemnej ZWZ, która w odległym o parę kilometrów Pustelniku już działała. Niestety, nie pamiętam ani imion, ani pseudonimów tych ludzi, gdyż już w 1941r. wyprowadzili się do innych miejscowości i w ten sposób kontakty z nimi zostały przerwane.

Obwód „Mewa" składał się z szeregu Ośrodków i jednym z nich był Pustelnik, zaś Ośrodki składały się z szeregu Podośrodków. Właśnie dzięki wspomnianym wyżej ludziom powstał nowy Podośrodek, obejmując początkowo wsie: Chobot, Mrowiska, Krzewina, Desno, Żwirówka i Cisie. Zanim powstały oddziały wojskowe podzielone na sekcje, drużyny, plutony itd., Ośrodkami i Podośrodkami dowodzili komendanci. Takim komendantem nowopowstałego Podośrodka był Józef Ostrowski ps. „Mateusz", zamieszkały w Mrowiskach.

Praca konspiracyjna naszego Podośrodka ograniczała się wówczas do rozprowadzania prasy („bibuły"), która zaczęła przepływać do sąsiednich miejscowości i bardzo dobrze spełniała swoją rolę. Najnowsze wiadomości z kraju i ze świata były wtedy bardzo społeczeństwu potrzebne. W tym czasie, a także w latach następnych, bardzo duże zasługi przy rozprowadzaniu prasy położył szeregowy Zygmunt Szulc ps. „Wilk", zamieszkały w Żwirówce, który sporo na ten temat napisał w swoich wspomnieniach. Pragnę szczególnie podkreślić niebezpieczną pracę jaką niemal od początku działania Podośrodka wykonywała Małgorzata Izdebska ps. „Cicha", przywożąc bibułę z Mińska Mazowieckiego. Początkowo bibuła docierała nie częściej niż co dwa tygodnie, ale stopniowo częstotliwość jej wydawania wzrastała i przeważnie nowe wiadomości docierały do nas w każdym tygodniu.

Czytanie prasy podziemnej to dużo, ale dla ludzi i to głównie młodych, którzy wstąpili do organizacji wojskowej, pilnie potrzebne było szkolenie właśnie wojskowe. Dlatego niezbędna była odpowiednia kadra z przygotowaniem wojskowym. Pod tym względem nasz teren nie przedstawiał się dobrze. Oficer zawodowy – kapitan Komarnicki, który mieszkał w Halinowie – nigdy nie powrócił z wojny, jak zresztą tysiące oficerów. Z trzech oficerów rezerwy – porucznik Stanisław Michalski ukrywał się, podporucznik Władysław Grabowski powrócił z wojny, ale usłużni donosiciele z Halinowa nasłali Niemców i tylko cudem zdołał zbiec i do końca wojny pracował na innym terenie.

Tylko dla bardzo młodego wówczas podporucznika Ryszarda Rosia los okazał się nieco łaskawszy. Udało mu się wydostać z niewoli niemieckiej po prawie rocznym pobycie w Stalagu, ale tylko dlatego, że uchodził za zwykłego szeregowca. Poza tym mieszkał w Krzewinie wśród pewnych ludzi i donosiciele po prostu nie zauważyli jego powrotu. Dobrze, że na naszym terenie było jeszcze paru podoficerów i to różnych specjalności, a także paru szeregowców po odbytej

służbie wojskowej, którzy stopniowo wstępowali do organizacji i mogli być pomocni w szkoleniu.

Ja, jako młody podchorąży z rocznika 1938/1939 i uciekinier z niewoli niemieckiej, do której dostałem się w Piaskach pod Lublinem, musiałem odnaleźć się w tej nowej sytuacji, a także zorganizować swoje życie rodzinne, aby uniknąć wywiezienia do pracy do Niemiec. Już wiosną 1940r. docierała do mnie prasa podziemna i byłem dostatecznie zorientowany o powstaniu ruchu oporu na naszym terenie, do którego postanowiłem się włączyć.

Jak już wspomniałem, we wrześniu 1940 roku powrócił z niewoli z mocno nadwyrężonym zdrowiem podporucznik Ryszard Roś, z którym szybko nawiązałem kontakt. Młody organizm po paru tygodniach doszedł do zadowalającego stanu i już w grudniu przystąpiliśmy do pracy podziemnej w ZWZ-AK, przyjmując pseudonimy „Bartosz" i „Lis". Zaraz też podporucznik Bartosz został komendantem podośrodka w Pustelniku, co odpowiadało funkcji zastępcy dowódcy kompanii. Ja natomiast otrzymałem zadanie stopniowego organizowania plutonu.

Po paru miesiącach wspólnej pracy powiększyły się nasze szeregi i rozszerzył teren działania na następne miejscowości. Gdzieniegdzie istniały już wówczas niewielkie grupy zorganizowanych młodych ludzi, które stanowiły zalążki późniejszych drużyn z następujących miejscowości: Mrowiska, Kazimierów, Zastawie, Halinów, Brzeziny, Wielgolas, Aleksandrówka, Żwirówka, Cisie, Desno i Krzewina.

Wśród wstępujących do pracy podziemnej znalazło się także paru podoficerów, z których można było wytypować dowódców drużyn. Zostali nimi: plutonowy Stefan Roś ps. „Wiarus", zamieszkały w Krzewinie, kapral Henryk Książek ps. „Słoń'', zamieszkały w Aleksandrówce i kapral Bolesław Papis ps. „Cygan", zamieszkały w Wielgolesie.

Oprócz organizowania drużyn z perspektywą utworzenia plutonu, którego miałem być dowódcą, a co stało się dopiero pod koniec 1941r., należało równolegle działać na innych nie mniej ważnych odcinkach. Przede wszystkim trzeba było realizować plan szkolenia, zorganizować specjalistyczną sekcję sapersko – minerską oraz zdobywać broń i amunicję. Poza tym stale należało mieć na uwadze grożące nam niebezpieczeństwo, nie tylko ze strony okupanta, ale

także konfidentów i różnych donosicieli, gnieżdżących się głównie w Halinowie. W początkowej fazie naszej działalności, praca podziemna była mocno zakonspirowana, tym niemniej już w 1941r. prowadzone było w małych grupach (sekcjach) szkolenie, głównie z zakresu broni i taktyki walki z okupantem, przede wszystkim w warunkach nocnych. W roku 1941 zdobyliśmy też kilka sztuk broni, głównie karabinów i pistoletów ukrywanych dotąd przez żołnierzy września 1939. Już w listopadzie zorganizowaliśmy wspólnie z podporucznikiem Bartoszem akcję dywersyjno – sabotażową polegającą na zniszczeniu 200– metrowego odcinka linii telegraficznej przez ścięcie słupów pomiędzy stacjami kolejowymi Skruda (obecnie Halinów) i Dębe Wielkie. W akcji tej brało udział 15 żołnierzy z drużyn Wiarusa i Słonia.

Rok 1942 przyniósł znaczne zwiększenie stanu drużyn, w których trwało szkolenie, głównie w sekcjach. Zwiększył się także stan uzbrojenia, a w poszczególnych drużynach powstały podręczne magazyny broni. Także sekcja sapersko – minerska była intensywnie szkolona i posiadała już część materiałów wybuchowych, potrzebnych do planowanego wysadzenia mostu kolejowego pomiędzy stacjami Dębe Wielkie i Mińsk Mazowiecki. Oprócz bieżących prac w plutonie, otrzymałem w połowie 1942 roku nowe, bardzo poważne zadanie, polegające na przygotowaniu plutonu do opanowania, w wyznaczonym czasie, północno – zachodniej części miasta Mińsk Mazowiecki. Opracowanie tego zadania kosztowało mnie i drużynowych wiele wysiłku i czasu, szczególnie w terenie. Także w roku 1942 przeprowadziłem szereg wizytacji szkolenia żołnierzy w różnych grupach i stwierdziłem bardzo dobre wyniki. Szczególnie wyróżniała się w tym sekcja saperska.

Wiosną i jesienią tegoż roku, z moim udziałem zostały przeprowadzone dwie akcje w terenie, polegające na wywieszeniu biało - czerwonej flagi narodowej na stacji kolejowej Skruda. Już wówczas z podporucznikiem Bartoszem zwróciliśmy uwagę na wyróżniającego się podoficera, plutonowego Stanisława Grzelaka, ps. „Marysia", który bez reszty poświęcił się walce z okupantem.

Na przełomie lat 1942/43 zorganizowaliśmy, głównie na terenie Halinowa, Służbę Ochrony Powstania (SOP). Komendantem tej służby został Władysław Paszczykowski ps. „Luśnia" z kilkuosobową grupą działania. SOP wzmocniła naszą organizację na terenie Halinowa, gdyż w naszych szeregach z tej miejscowości znajdowały się zaledwie jednostki, natomiast płynęło stamtąd duże zagrożenie. W tym czasie

powstał także niewielki Kobiecy Oddział Sanitarny, tak potrzebny w akcjach bojowych.

W roku 1943 nastąpiły poważne zmiany w plutonie, spowodowane przyłączeniem oddziałów AK, znajdujących się na terenie powiatu warszawskiego, do Rejonu „Dęby" – Rembertów. W ten sposób wypadła z plutonu drużyna kaprala Słonia, pozostając w Obwodzie „Mewa" – Mińsk Mazowiecki. Nowym drużynowym został plutonowy Marysia, zamieszkały w Żwirówce. Po tej reorganizacji mój I pluton wszedł do IV kompanii porucznika Lipczyńskiego ps. „Ostoja", z siedzibą w Miłośnie, będącej częścią II batalionu pułku „Dęby". Podporucznik Bartosz został zastępcą dowódcy IV kompanii, a po paru miesiącach jej dowódcą.

W tym też roku wzmogła się nasza działalność sabotażowo - dywersyjna, polegająca głównie na niszczeniu dokumentów w gminach, niszczeniu urządzeń w zlewniach mleka itp. Wspólnie z podporucznikiem Bartoszem i kilkunastoma żołnierzami z plutonu, osobiście brałem udział w takiej akcji w maju 1943 roku. Przeprowadziliśmy ją w gminach Pustelnik i Stanisławów. Kilka akcji w gminach Okuniew i Sulejówek oraz w zlewniach mleka w Koniku Nowym i Okuniewie przeprowadził plutonowy Marysia z odpowiednią grupą żołnierzy. Powtórzono także akcję wywieszenia flagi narodowej na stacjach kolejowych w Skrudzie i Miłośnie.

W roku 1943 został wykonany na terenie plutonu główny magazyn broni natomiast w drużynach pozostały tylko podręczne magazyny lekkiej broni do szybkiego użycia. W szkoleniu położyłem nacisk na przeniesienie go w warunki polowe. Wspólnie z drużynowymi rozpracowane zostało, przydzielone plutonowi, bojowe zadanie zdobycia, w odpowiednim czasie, części koszar w Wesołej, zajmowanych przez wojska niemieckie.

W roku 1944 dało się wyraźnie zauważyć wśród żołnierzy, oraz wśród społeczeństwa, ogromne napięcie towarzyszące zawsze Polakom przed zrywem do wielkich działań bojowych. Do wschodnich granic Rzeczypospolitej zbliżał się front, partyzanci rozszerzali walkę z okupantem, a i o powstaniu mówiło się coraz więcej. Wszystko to stwarzało sprzyjającą atmosferę do walki ze znienawidzonym wrogiem. Dlatego wyruszyło w pole wiele oddziałów specjalnych, także z Obwodu „Obroża". Nasz pluton udzielał tym oddziałom szerokiej pomocy, poczynając od zakwaterowania, a kończąc na

ubezpieczeniu, a także w transporcie ich sprzętu wojskowego. Ten fragment naszej działalności opisuje w swoim wspomnieniu drużynowy Cygan.

Na naszym terenie prowadzone były nadal akcje sabotażowo - dywersyjne, które przeprowadzał głównie plutonowy Marysia ze swoim oddziałem. Były to powtórzone akcje w Sulejówku, Okuniewie i Koniku Nowym. Oczywiście pluton udzielał Marysi pomocy w ludziach, transporcie, przechowywaniu broni itp. W plutonie trwało nadal uzupełnianie uzbrojenia i szkolenie drużyn w terenie. Uważam, że wiosną 1944 roku pluton był całkowicie przygotowany do wykonania wyznaczonego mu zadania bojowego.

Pragnę jeszcze zaznaczyć, że moje wspomnienia stanowią ogólny zarys działalności plutonu na głównych odcinkach jego pracy, tym niemniej dość dokładnie opisane są niektóre charakterystyczne akcje przeprowadzone w terenie. Niełatwe, a czasami wręcz niemożliwe, jest dzisiaj, po pięćdziesięciu latach, zdobycie szeregu materiałów, bo zabrakło już ponad połowę stanu plutonu (w roku 1986 – przyp. wyd.). Stąd stosunkowo mało jest tu materiału o broni, jej magazynowaniu i transporcie, a także o zrzutach broni, przy których zatrudnieni byli nasi żołnierze. Tylko mała wzmianka dotyczy Służby Ochrony Powstania, jak również Kobiecego Oddziału Sanitarnego, a przecież i one włożyły wiele pracy w przygotowanie do wykonania swoich zadań. Tym niemniej zebrany materiał daje pewien obraz tego, co działo się w plutonie od jego powstania w roku 1940, aż do rozwiązania w lipcu roku 1944. Na przestrzeni paroletniej pracy w plutonie można było obserwować działanie poszczególnych dowódców i wielu żołnierzy tak w szkoleniu jak i w akcjach. Interesowały mnie również opinie dowódców drużyn o swoich podwładnych. Pomimo, że o całym składzie osobowym plutonu mam bardzo dobrą opinię, to jednak pragnę przynajmniej wymienić tych, którzy swoją działalnością szczególnie się wyróżnili.

Plutonowy Stanisław Grzelak ps. „Marysia", o którym niemało napisali w swoich wspomnieniach jego żołnierze i koledzy. W sposób krótki, wojskowy, ale jakże wymowny wspomina o plutonowym Marysi Witkowski w swojej książce pt. Kedyw. Ja napiszę krótko – był to podoficer, który wszystkie swoje siły i umiejętności wojskowe poświęcił dla wyzwolenia Ojczyzny.

Plutonowy Józef Miłosz ps. „Biały" – najwyższej klasy

radiotelegrafista, a przy tym bardzo skromny człowiek. Przez ostatnie dwa lata okupacji obsługiwał radiostację Komendy Głównej AK, głównie na zalesionych terenach powiatu Mińsk Mazowiecki, pod osłoną specjalnego oddziału ze Stanisławowa. Następnie ściągnięty do Warszawy, obsługiwał nadal radiostację KG AK w powstaniu. Zawieruchę wojenną przeżył.

Zygmunt Szulc ps. „Wilk" – jeden z pierwszych żołnierzy ZWZ, zajmujący się przez prawie cztery lata rozprowadzaniem prasy podziemnej. Zawsze służył pomocą innym, a jako mistrz – kowal wykonał bezinteresownie dla organizacji szereg przyrządów i narzędzi, szczególnie dla sekcji pirotechnicznej.

Drużynowi, plutonowy Stefan Roś ps. „Wiarus" i kapral Bolesław Papis ps. „Cygan", to wyjątkowo pracowici i świecący dobrym przykładem podoficerowie. Wspaniali wychowawcy młodych żołnierzy.

Małgorzata Izdebska ps. „Cicha" i jej syn Stanisław Izdebski ps. „Chaber", to także jedni z pierwszych żołnierzy w plutonie. Cicha wykonuje jedną z najbardziej niebezpiecznych prac, w najgorszym okresie, przewożąc bibułę z Mińska Mazowieckiego dla całego wówczas Ośrodka, zaś szeregowy Chaber wykonał główny magazyn broni i opiekował się nim do końca okupacji. Myślę, że każdy się orientuje, jak bardzo ta matka z synem się narażali.

Plutonowy Stanisław Parkot ps. „Wichura" – rusznikarz plutonu, z całym poświęceniem dbał o broń, a poza tym brał osobiście udział w najtrudniejszych warunkach jej przewożenia i ukrywania.

Duże zasługi w przygotowaniu i szkoleniu sekcji saperskiej położył plutonowy Czesław Kutrowski ps. „Platynowy", zamieszkały we wsi Desno. Bardzo dobrze pomagał mu w tej pracy szeregowy Leopold Woźnica ps. „Krzak". Szeregowy Zygmunt Papis ps. „Dzięcioł" – to bardzo ofiarny łącznik w drużynie Cygana.

Na szczególne wyróżnienie zasłużyli także niżej wymienieni żołnierze, którzy brali udział w wielu akcjach pod dowództwem plutonowego Marysi: szeregowy Wiktor Główka ps. „Pierwotny", szeregowy Jan Cacko ps. „Burza", szeregowy Zygmunt Opejda ps. „Piorun'', szeregowy Józef Przysowa ps. „Kawka'', szeregowy Tadeusz Kulmiński ps. „Figiel", szeregowy Henryk Grzelak ps. „Szczupak" i wymieniany już szeregowy Leopold Woźnica ps. „Krzak".

Poza grupą wyróżniających się podoficerów i szeregowych żołnierzy plutonu, należy podać tu jeszcze nazwisko bardzo odważnego i szczerze oddanego pracy konspiracyjnej podoficera, który będąc jednocześnie funkcjonariuszem policji granatowej w Dębem Wielkim oddawał ogromne usługi naszej organizacji. Chodzi o plutonowego Stanisława Chodkowskiego ps. „Góral" z drużyny kaprala Słonia, o którym bardzo ciepło wspomina szeregowy Wilk. Plutonowy Góral prawie przez 4 lata przewoził nie tylko bibułę, ale wiele broni i amunicji, szczególnie tej ze zrzutów, kierowanej do oddziałów w Warszawie. Pracował w AK do końca okupacji w Obwodzie „Mewa" – Mińsk Mazowiecki, ale pomimo to współpracowaliśmy z nim nadal w zakresie zaopatrzenia plutonu w prasę podziemną. Zasłużył sobie na szczególne wyróżnienie.

**Jan Kowalski ps. „Lis"**

# Konspiracyjne spotkania

W czasie mojej prawie czteroletniej działalności w konspiracji brałem udział w wielu zebraniach i odprawach. Można je podzielić na dwie grupy:

-zebrania, które organizowałem w ramach plutonu jako jego dowódca,
-zebrania, które były organizowane przez wyższe szczeble organizacyjne.

W swoich wspomnieniach ograniczę się do opisania tych odpraw, które najbardziej utkwiły mi w pamięci. Oczywiście zebrania takie były organizowane tylko w miarę konieczności i trwały możliwie jak najkrócej. Jeśli chodzi o te, które sam organizowałem, było ich kilka, natomiast zebrań drugiego typu było niewiele, to jest trzy lub cztery od roku 1943 do wyzwolenia.

Jedna z zapamiętanych przeze mnie odpraw, w ramach mojego plutonu, odbyła się w sierpniu 1943 roku u drużynowego, kaprala Bolesława Papisa ps. „Cygan", we wsi Wielgolas. Zebranie było prowadzone w godzinach popołudniowych w niedzielę, w mieszkaniu Cygana, w oddzielnym pokoju. Oprawa zebrania była taka, że robiło ono wrażenie spotkania towarzyskiego przy kartach i herbacie. Każdy uczestnik wiedział, że nie można było tu robić żadnych notatek. Ubezpieczenie ograniczało się tylko do podania nam informacji o grożącym niebezpieczeństwie, aby można było szybko przestawić się na pozorowanie niedzielnego wypoczynku. Na punkcie obserwacyjnym był szeregowy Dzięcioł, brat Cygana, który mieszkał po sąsiedzku.

W zebraniu tym brali udział drużynowi: plutonowy Stanisław Grzelak ps. „Marysia", kapral Bolesław Papis ps. „Cygan" i plutonowy Stefan Roś ps. „Wiarus". Porządek zebrania był następujący:

1. Stan szkolenia w poszczególnych drużynach – teoretycznego i praktycznego w terenie.

2. Nastroje wśród ludności i zakres korzystania z bibuły.

3. Uczulenie na niebezpieczeństwo grożące ze strony okupanta i jego konfidentów.

W omawianiu punktu pierwszego naszego zebrania nie będę się zatrzymywał nad jego merytoryczną stroną, gdyż były to partie materiału szkoleniowego czysto wojskowego, aktualnego zresztą prawie w całości i dzisiaj. Natomiast pragnę zatrzymać się nad atmosferą zebrania i jego rzeczowością.

Poszczególni drużynowi omawiali sprawy szkolenia w swoich drużynach z zadowoleniem, gdyż jego wyniki były bardzo dobre, co potwierdzam, gdyż je osobiście kontrolowałem. Z przyjemnością wspominam o tym, że szkolenie w konspiracji należało do przyjemności, a nie do ciężkiej pracy, gdyż żołnierze naprawdę chłonęli podawany materiał i chcieli możliwie najwięcej osiągnąć. Podpisuję się pod wypowiedzią drużynowego Cygana, który napisał w swoich wspomnieniach, że w całym swoim życiu nie spotkał tak chętnych do nauki i osiągających takie wyniki, jak żołnierze w jego drużynie. A trzeba wiedzieć, że nie mieli oni ani podręczników do nauki, ani nie mogli nawet robić notatek.

Może tym, którzy nie zetknęli się z pracą w konspiracji, a także ludziom młodym, wyda się to nieprawdziwe, ale we wszelkich zajęciach w podziemiu nieznana była absencja, czy niechęć do pracy. Nikomu nawet nie śniło się o zwolnieniach lekarskich, a przeciwnie – nieraz trzeba było niemal siłą odesłać z zajęć do domu chorego człowieka. Zwłaszcza jeśli chodzi o akcje w terenie – żołnierze ukrywali swoje dolegliwości, aby tylko można było w takiej czy innej formie walczyć z okupantem. Pragnienia, jakie na zebraniach wyrażali drużynowi, to konieczność zdobycia najnowszej broni ręcznej do szkolenia żołnierzy, aby byli przygotowani bardziej wszechstronnie i by nic nie mogło ich zaskoczyć w tym zakresie.

W większości sekcji były bardzo trudne warunki szkolenia. Odbywało się ono w komórkach, piwnicach, stodołach i strychach, ale żadnych utyskiwań i biadolenia nigdy nie słyszałem. We wszystkich sekcjach szkolenie przebiegało bez zakłóceń i tak sekcyjni, jak i drużynowi, wkładali w nie wiele serca i pracy. Na odprawie wiele dobrego usłyszałem o specjalistycznej sekcji pirotechnicznej, która oprócz szkolenia teoretycznego przygotowywała się do swojego bojowego zadania, także w terenie i to w różnych warunkach atmosferycznych.

W tym punkcie porządku zebrania szybko załatwiona została sprawa ustalenia terenów do szkolenia bojowego drużyn i plutonu.

Uzgodniono, że drużyny Cygana i Marysi będą odbywały ćwiczenia na rozległych łąkach, częściowo zadrzewionych za wsią Wielgolas, zaś drużyna Wiarusa na ugorach pod lasami za wsią Chobot. Cały pluton będzie wykorzystywał na ćwiczenia, oczywiście nocą, jeden z ustalonych terenów w zależności od tematu ćwiczenia i sytuacji w terenie .

Punkty 2 i 3 odprawy były rozpatrywane łącznie , gdyż w dużym stopniu wiązały się ze sobą. Z krótkich ale rzeczowych wypowiedzi drużynowych Marysi i Cygana wynikało, że niemal 100% ludności wiejskiej czyta prasę podziemną, a nastroje wśród niej są bardzo optymistyczne.

Drużynowy Wiarus nie miał tak dobrej opinii w omawianych sprawach jak jego koledzy. Stwierdził, że jeśli chodzi o ludność wiejską to ma identyczne informacje i własne spostrzeżenia, ale w osiedlu Halinów, gdzie mieszkała różnorodna ludność, sprawy te wyglądały znacznie gorzej. Prasa podziemna czytana była tu może w 50%, a najgorsze było, że byli ludzie współpracujący z Niemcami, a także wielu takich, którym nie można ufać. Padły tu nazwiska niewiast – Winciorek i sióstr Kostrzewskich, które utrzymywały kontakty z Niemcami i przyjmowały ich u siebie. Był także volksdeutch Wolf, a dalej szereg kombinatorów, trudniących się kradzieżą.

Następnie wszyscy drużynowi zwrócili uwagę na panoszenie się i gorliwe wykonywanie poleceń Niemców przez policjantów Rothimela i Korpisa z posterunku gminnego w Okuniewie. Szczególnie gnębili oni rolników za podatki i kontygenty. Także należało być ostrożnym, jeśli chodzi o majątek Skruda i majątek w Długiej Kościelnej, przyległe do Halinowa, gdzie Niemcy byli częstymi gośćmi. Drużynowy Cygan stwierdził z zadowoleniem, że na ich terenie skończyły się napady bandyckie, które miały miejsce w roku 1941, a nawet jeszcze w początku roku 1942, kiedy nasze szeregi dopiero się rozwijały.

Sprawy bezpieczeństwa były szczególnie dokładnie analizowane, gdyż tak ze strony konfidentów, jak i innych ludzi sprzyjających Niemcom groziło organizacji śmiertelne niebezpieczeństwo. Wiadomo – okupanci robili wszystko, aby przeniknąć do naszych szeregów i zetrzeć nas z powierzchni ziemi.

Na odprawie tej oprócz spraw szkoleniowych, organizacyjnych, czysto wojskowych i bezpieczeństwa, przewijała się troska o sprawy

ludzkie, tak żołnierzy jak i wszystkich uczciwych mieszkańców. To robocze spotkanie trwało około 1,5 godziny i zakończyło się konkretnymi ustaleniami co do poszczególnych tematów, analizowanych w czasie zebrania.

Drugie zebranie, które także na długo zapisało się w mojej pamięci, było zorganizowane przez dowódcę IV kompanii, porucznika Lipczyńskiego ps. „Ostoja", w Miłośnie w końcu 1943 roku. W odprawie tej oprócz dowódcy kompanii brał także udział jego zastępca, podporucznik Ryszard Roś ps. „Bartosz" oraz trzech dowódców plutonów. Porządek dzienny tego zebrania był krótki, ale o dużym ciężarze gatunkowym:

1. Przydział zadania bojowego dla poszczególnych plutonów na dzień powstania czy innej konieczności opanowania wyznaczonego terenu.

2. Sprawy organizacyjne.

Zebranie to utkwiło mi w pamięci może i dlatego, że podobne zadanie miałem już rozpracowane będąc w obwodzie „Mewa" (Mińsk Mazowiecki). Polegało ono na opanowaniu północno-zachodniej części Mińska Mazowieckiego przez mój pluton w wyznaczonym czasie. Rozpracowanie tego zadania kosztowało mnie i drużynowych wiele pracy, ale było znacznie łatwiejsze pod każdym względem od tego, które otrzymał pluton w czasie opisywanego zebrania. Chodziło mianowicie o część kompleksu koszar wojskowych w Wesołej, które zajmowały oddziały niemieckie.

Porucznik Ostoja przydzielając poszczególnym plutonom zadania dysponował pewnymi wiadomościami odnośnie terenu, jego zabudowy i wojska, ale nie były to wyczerpujące dane, jakie są potrzebne do wojskowego rozpracowania zadania. Właśnie dowódcy plutonów mieli się teraz włączyć do zdobycia brakujących im informacji do szczegółowego rozpracowania zadania. Oczywiście powstały natychmiast pytania jak dostać się na teren wojskowy ogrodzony i strzeżony przez okrągłą dobę. Nie było na razie odpowiedzi na to pytanie, ale była dobra rada dowódcy kompanii, Ostoi: „*Dzisiaj nie mamy wszystkich potrzebnych informacji do postawionego zadania, ale pomyślcie i może jutro, za tydzień czy za miesiąc zdobędziemy je. Ja, mój zastępca podporucznik Bartosz i wyższe dowództwo także myślimy o tym i dlatego jestem pewny, że wkrótce zdobędziemy potrzebne dane, aby w odpowiednim czasie bez strat własnych zdobyć podane tereny zajmowane dzisiaj przez wojsko hitlerowskie*".

Mieli wówczas rację Ostoja i Bartosz. Wprawdzie nie po miesiącu, ale prawie po trzech, nasi podoficerowie dostali się na teren zabudowanej części poligonu i zdobyli potrzebne brakujące dane, a najlepszym w tym działaniu był plutonowy Stanisław Grzelak ps. „Marysia". Sprawa ta to oddzielny temat i być może zostanie szerzej opisana. Tak czy inaczej dowódcy plutonów mieli twardy orzech do zgryzienia i należało bez zwlekania zabrać się do tej roboty, bo front wschodni zbliżał się i przydzielone nam zadania nie mogą zbyt długo czekać na ich dokładne rozpracowanie.

I tak punkt pierwszy zebrania został wyczerpany, ale czułem, że tak ja, jak i moi koledzy zastanawiamy się i szukamy drogi dojścia na strzeżone przez Niemców tereny, które może już niedługo my będziemy zajmowali. Przed tym musimy jednak pokonać poważną zaporę i byłem pewny, że dokonamy tego.

Punkt drugi zajął nam niewiele czasu. Porucznik Ostoja przekazał nam najnowsze wiadomości z frontów, z których wynikało, że potęga hitlerowska zaczyna się mocno chwiać, a my coraz bardziej będziemy się do tego przyczyniać. Zwrócił także uwagę na grożące nam niebezpieczeństwo ze strony różnych niepewnych ludzi, mieszkających niejednokrotnie obok nas, a służących całkowicie Niemcom. Na sprawy bezpieczeństwa trzeba mieć uszy i oczy otwarte.

Jeszcze tylko parę różnych pytań ze strony dowódców plutonów i odprawa trwająca około półtorej godziny została zakończona. Porucznik Ostoja żegnając się z nami życzył dobrego zdrowia i bardzo rozsądnego i skutecznego działania w naszej konspiracyjnej pracy. Wyszliśmy z podporucznikiem Bartoszem jako ostatni i w czasie drogi powrotnej nie dawała nam spokoju sprawa Wesołej, ale nie przychodziło nam do głowy żadne rozsądne i bezpieczne rozwiązanie. Już wtedy myślałem o swoich dzielnych i mądrych drużynowych, którzy mieli być wtajemniczeni w przydzielone plutonowi zadanie i bardzo liczyłem na ich zdrowe i konkretne myślenie.

Dzisiaj wiem, że zlecone nam zadanie bojowe zostało rozpracowane, ale nigdy przez pluton nie zrealizowane, gdyż zupełnie inaczej potoczyły się losy wyzwalania tych terenów spod okupacji niemieckiej. W rejonie Okuniewa, Wesołej, Wołomina – Niemcy zdołali zgromadzić potężne siły i o te miejscowości toczyły się ciężkie

boje przez wiele dni. Niewiele wtedy znaczyłyby nasze dość słabo uzbrojone oddziały, kiedy regularna Armia Czerwona, dysponując czołgami, artylerią i lotnictwem miała niełatwą przeprawę w zdobyciu tych terenów.

**Jan Kowalski ps. „Lis”**

# Bibuła i łączność

Bibuła i łączność to nieodzowne elementy występujące w pracy konspiracyjnej. Kiedy znalazłem się w szeregach ZWZ, a potem AK, otrzymałem zadanie dostarczania bibuły i rozprowadzania jej do zakonspirowanych grup żołnierzy na naszym terenie, początkowo do drużyny, a potem do plutonu. Z każdej drużyny był wyznaczony łącznik, któremu przekazywałem bibułę, ale zdarzało się, że przekazywałem także różne meldunki czy rozkazy.

Do połowy 1941 r. co tydzień odbierałem bibułę od Józefa Ostrowskiego ps. „Mateusz", zamieszkałego we wsi Mrowiska. Nie interesowało mnie wówczas, skąd brał bibułę „Mateusz". Dopiero po roku, a może i później dowiedziałem się, że dostarczała mu ją bardzo skromna wiejska kobieta, Małgorzata Izdebska ps. „Cicha", zamieszkała we wsi Krzewina. Bibułę przywoziła raz w tygodniu z Mińska Mazowieckiego dla całej kompanii, narażając w dużym stopniu swoje życie. Jazda pociągiem z bibułą była wówczas bardzo niebezpieczna, tym bardziej, że na tej linii, pomiędzy Warszawą a Mińskiem Mazowieckim, tak w pociągach jak i na stacjach grasował Bahnschutz – „Czarny Gustaw", który ział nienawiścią do Polaków. Za bicie i poniewieranie niewinnych podróżnych sprawiedliwości w końcu stało się zadość i na początku 1944r. z wyroku Armii Krajowej, kat Gustaw został zastrzelony na peronie w Mińsku Mazowieckim.

Śmiało można powiedzieć, że Cicha, przewożąc co tydzień bibułę, była narażona na pewną śmierć. O jej pracy wiedzieli wówczas tylko nieliczni – trzy, a może cztery osoby, tj. zastępca dowódcy kompanii ppor. „Bartosz", łącznik Mateusz i łącznik z Pustelnika. Trzeba dodać, że kobieta ta wychowała dzielnego syna, Stanisława, ps. „Chaber", który do końca okupacji narażał swoje życie, opiekując się magazynem broni, który znajdował się na terenie ich małego gospodarstwa. Obecnie oboje nie żyją, a szkoda, bo zabrali ze sobą wiele ciekawych spraw, o których nikt się już nie dowie. Niech przynajmniej wspomnienie o nich zawarte w tych paru zdaniach pozostanie dla potomnych.

Jeśli chodzi o przyjmowanie bibuły od Mateusza, to ustaliliśmy pewne znaki ostrzegawcze, które mogły się pojawić przed domem lub w oknie domu i wówczas nie było mowy o pobraniu bibuły. Po prostu musiałem się wycofać. A więc istniały dwie możliwości. Odbierałem

bibułę bez żadnych trudności, albo nie mogłem jej pobrać i niestety wracałem do domu z pustymi rękami. Na szczęście ta druga możliwość zdarzała się rzadko i wtedy bibułę przywoził mi sam Mateusz. Przewożenie bibuły przeze mnie miało różne rozwiązania w zależności od okoliczności – pory roku, pogody, sytuacji w terenie itp. Najczęściej przewoziłem bibułę przy sobie jadąc rowerem. Droga do przebycia w obie strony miała około 6 km. W miarę możliwości zmieniałem drogi dojazdu, nawet przemykając się zwykłymi polnymi ścieżkami. Zdarzało się, szczególnie w zimie, że drogę tę trzeba było przemierzyć pieszo. W fatalne deszczowe pogody czy zawieje śnieżne korzystałem także z zaprzęgu konnego, którym wspierał mnie sąsiad, Stanisław Parkot ps. „Wichura".

Udając się po bibułę czy wracając z nią, starałem się upozorować sensowny powód mojego podróżowania. Najczęściej była to torba z narzędziami ślusarskimi, ale mogło być jakieś lekarstwo, czy coś z żywności. Oczywiście przedmioty te nie mogły dawać mi żadnych realnych możliwości w zetknięciu się z Niemcami. Wtedy miałem jedną szansę – pozbycie się bibuły, na co byłem także przygotowany. Bibułę starałem się tak przewozić, abym mógł ją szybko wyrzucić. Lokowanie jej przy sobie zależało także od jej ilości. Bardzo często miałem ją po prostu w bocznej kieszeni, ale także mocowałem przy nodze, w otwartej torbie z narzędziami, a nawet przy ramie roweru, czy ukrytą w wozie lub saniach, jeśli taki był środek lokomocji. Ogólnie biorąc bibułę przewoziłem chyba zbyt śmiało – przynajmniej tak oceniam to dzisiaj i na pewno dopisywało mi szczęście w tej pracy. W przypadku gdy Mateusz dostarczał mi bibułę, miał on dużo łatwiejsze zadanie, bo przybycie do kowala, a taką pracę zawodową wykonywałem wówczas w Żwirówce, nie nasuwało żadnych podejrzeń. Także łącznicy z poszczególnych drużyn pod tym względem mieli łatwiejszą pracę. Bibułę przechowywałem w jednym z budynków w dobrze zamaskowanej skrytce. Rozprowadzaniem jej wśród członków organizacji zajmowali się w terenie sekcyjni, którzy mieli kontakty z paroma osobami. Bibuła była także udostępniana niezrzeszonym, ale musiały to być osoby całkowicie pewne i odpowiednio pouczone. Kontakty z takimi ludźmi mieli poszczególni członkowie organizacji.

Od połowy 1941 r. nastąpiła zmiana punktu odbioru bibuły, jak również osoby przywożącej ją z Mińska Mazowieckiego. Był to zrzeszony w organizacji AK policjant mundurowy Stanisław Chodkowski

ps. „Góral" z posterunku w Dębem Wielkim, znajdującym się kilkadziesiąt metrów od stacji kolejowej. Człowiek ten był dla Niemców poza podejrzeniami pracy w konspiracji. Droga do Dębego była znacznie dogodniejsza, a i odległość mniejsza niż do Mrowisk. Nowy punkt miał dużo plusów, ale były także i minusy. Do nich należało zaliczyć znaczny ruch ludzi i pojazdów. Obok stacji Dębe Wielkie przebiega i przecina tory kolejowe szosa z Warszawy na wschód. Droga dojścia do punktu była dość bezpieczna, a kontakt z Góralem był bezproblemowy. Idąc po bibułę nie musiałem niczego pozorować – po prostu wzywa mnie policja. Gorzej było z drogą powrotną, gdy miałem już bibułę, ale na szczęście droga ta była prostopadła do szosy i torów kolejowych, nieco zasłonięta drzewami, a w odległości około 300 metrów znajdowała się wieś Aleksandrówka, skąd do Żwirówki była już droga bez większych zagrożeń.

Pomimo, że punkt odbioru bibuły był dość bezpieczny, mieliśmy również ustalone znaki ostrzegawcze, które były czasem wykorzystywane. W mojej kuźni w Żwirówce – Góral zjawiał się rzadko, tylko w sytuacji większego zagrożenia lub kiedy chodziło o pilne meldunki lub rozkazy. Podziwiałem tego człowieka w mundurze, który był bardzo oddany pracy konspiracyjnej w AK, ale w swoim otoczeniu i w pracy zawodowej musiał być szczególnie ostrożny, aby nie wykryto jego powiązań z podziemiem. Z człowiekiem tym współpracowało mi się bardzo dobrze, toteż kiedy w 1943 r. nastąpiło przyłączenie części naszego plutonu do obwodu „Dęby" (Rembertów) zmartwiłem się bardzo, że będziemy musieli się rozstać. Zdrowy rozsądek dowództwa pozwolił jednak naszemu plutonowi korzystać z bibuły w obwodzie „Mewa" (Mińsk Mazowiecki), z czego przynajmniej ja byłem ogromnie zadowolony. Przywożenie bibuły z Miłosny czy Wesołej byłoby znacznie bardziej niebezpieczne.

Tak więc w dalszym ciągu odbierałem bibułę u Górala. Siłą rzeczy odpadła sprawa meldunków czy rozkazów. Tymi sprawami zajmował się już ktoś inny. Przy kontaktach z Góralem ceniłem sobie również to, że oprócz bibuły przekazywał różne najnowsze wiadomości z frontów, czy też o posunięciach okupanta w terenie i grożącym niebezpieczeństwie. Ja oczywiście przekazywałem te wiadomości dalej. Jako policjant miał pewne możliwości zdobycia różnych informacji nawet bezpośrednio od Niemców. Pod koniec 1943r. zastępca dowódcy kompanii, ppor. Bartosz przydzielił mi pracę innego rodzaju, gdyż zbyt długo przewoziłem bibułę i nie należało

przeciągać struny. Dostarczaniem bibuły zajął się ktoś inny i tak chyba powinno być.

Z moich obserwacji w czasie nieprzerwanej 3,5 letniej pracy w konspiracji, bibuła i zawarte w niej wiadomości i informacje dawały naszemu społeczeństwu bardzo dużo. Przede wszystkim nadzieję przetrwania, a także odporność na kłamliwą propagandę okupanta, która spływała po społeczeństwie jak woda. Na naszym terenie bibuła docierała niemal do każdego domu. Nasze miejscowe społeczeństwo było jednomyślne, jeśli chodziło o opór i walkę z okupantem. Najlepszym dowodem jest choćby to, że wypełniając tak niebezpieczne zadania niemal przez cały okres okupacji nie miałem nigdy zagrożenia ze strony ludności zamieszkującej teren naszego plutonu. Nieliczne osoby, które sprzyjały Niemcom, zostały szybko rozpoznane, a następnie izolowane i nie zagrażały nam bezpośrednio.

**Zygmunt Szulc ps. „Wilk”**

# Szkolenia

Do wyszkolenia żołnierzy w mojej drużynie przywiązywałem dużą wagę. Od tego przecież zależało, jak żołnierz będzie pracował w konspiracji, jak wykona swoje zadanie w różnych akcjach i czy będzie właściwie posługiwał się bronią i innym sprzętem bojowym.

Organizacyjnie szkolenie teoretyczne przedstawiało się w ten sposób, że były ustalone na terenie naszych miejscowości trzy punkty, w których się ono odbywało i tak szkolenie ogólne miało miejsce np. w olejarni u Stanisława Konowrockiego ps. „Bystry", czy u Stanisława Główki ps. „Komar", zaś szkolenie specjalistyczne w oddzielnym punkcie u Leopolda Woźnicy ps. „Krzak". Miejsca te były wybrane jako najbezpieczniejsze z możliwych. W początkowej fazie naszej działalności grupy były małe – po 3 czy 4 osoby i stopniowo się powiększały w miarę napływu członków do organizacji. Nigdy nie były jednak większe niż 6 osób. Dysponowaliśmy wówczas jedynie skromnym uzbrojeniem (rewolwer, karabin, granat) i dlatego większość czasu poświęcano na opanowanie podstaw służby wartowniczej, zasad poruszania się i walki w terenie, ze szczególnym uwzględnieniem działania nocą. Przerabiano także podstawy terenoznawstwa i ogólne zasady korzystania z mapy.

W miarę powiększania się naszego uzbrojenia, szczególnie w broń maszynową, przestawiono ciężar szkolenia na tę dziedzinę. Szkoleniem obciążeni byli najbardziej sekcyjni. Byli to przeważnie podoficerowie i szeregowi po normalnej służbie wojskowej. Z sekcyjnymi spotykałem się na konsultacjach i szkoleniu. Chodziło przede wszystkim o zapoznanie się z bronią maszynową taką, jak rkm, ckm, sten, thomson, pepesza. Szkolenie przez sekcyjnych odbywało się przeciętnie raz w tygodniu, a moje spotkania z sekcyjnymi w zależności od potrzeby, przeważnie raz w miesiącu. Co pewien czas kontrolowałem szkolenie w grupach i prawie zawsze byłem z wyników zadowolony. Żołnierze dokładali starań, aby podawany materiał opanować w całości.

Zajęcia z zakresu uzbrojenia odbywały się wyłącznie wieczorami natomiast inne prowadzone były także w dzień, ale tylko w dni świąteczne. Były oczywiście upozorowane grą w karty czy przyjacielską pogawędką. Materiał podawany był wyłącznie do bezpośredniego zapamiętania. Nie było tu mowy o jakichkolwiek notatkach.

Omawiane powyżej szkolenie obowiązywało wszystkich żołnierzy, ale oprócz drużyny strzeleckiej była pod moją opieką także sekcja saperska, składająca się z 6 żołnierzy, która przechodziła szkolenie specjalne. Sekcja ta została zorganizowana w 1942 roku, a jej bezpośrednim dowódcą był plutonowy Czesław Kutrowski ps. „Platynowy". Jako saper prowadził główną część szkolenia z tego zakresu oraz zdobywał materiały wybuchowe i przygotowywał sekcję w terenie do jej głównego zadania bojowego. Zadanie to polegało na wysadzeniu dwóch mostów nad strumieniem przepływającym pod torami kolejowymi i szosą. Mosty położone były pomiędzy stacjami kolejowymi Dębe Wielkie i Mińsk Mazowiecki.

Prawą ręką Platynowego we wszystkich pracach był Krzak. W gospodarstwie jego rodziców odbywało się szkolenie oraz znajdował się magazyn materiałów wybuchowych. Oprócz Platynowego szkolenie prowadzili również przyjezdni specjaliści – pirotechnicy, do roku 1943 z Obwodu „Mewa", a od 1943 z Rejonu „Dęby". Obecnie nie pamiętam ani pseudonimów ani nazwisk tych ludzi. Sekcja saperska parokrotnie robiła wizję lokalną dróg dojścia i samych mostów, aby zadanie bojowe wykonać pewnie, niezależnie od warunków atmosferycznych i pory roku. Oprócz materiałów wybuchowych potrzebne było specjalne oprzyrządowanie, jak uchwyty, odpowiednie śruby służące do osadzenia materiału przy szynach kolejowych i wyznaczonych segmentach mostu. Oprzyrządowanie, co szczególnie podkreślam, wykonał całkowicie samodzielnie Zygmunt Szulc ps. „Wilk" (z drużyny Wiarusa) – kowal ze wsi Żwirówka.

Sekcja Platynowego była bardzo dobrze przygotowana do swojego bojowego zadania. Do wykonania zadania nigdy jednak nie doszło z przyczyn natury ogólnej, a materiały wybuchowe zostały po wojnie unieszkodliwione przez saperów Wojska Polskiego.

Wracając do szkolenia ogólnego muszę stwierdzić, że znaczna jego część nie przedstawiała nam większych trudności. Odbywało się ono w małych grupach i przeważnie w pomieszczeniach gospodarskich natomiast pewna część musiała być przeprowadzona w warunkach polowych z większą ilością żołnierzy. Teren, na którym prowadziliśmy ten rodzaj szkolenia, to duży obszar łąk, graniczący z lasem, a położony za wsią Wielgolas. To dobry teren do ćwiczeń i to pod wieloma względami, a zwłaszcza pod względem bezpieczeństwa. Szkolenie praktyczne w terenie było prowadzone po przygotowaniu

teoretycznym i rozpoczęte zostało dopiero wiosną 1943 roku. Odbywało się zawsze w porze nocnej. Obejmowało ono podstawowe elementy musztry, służby wartowniczej, pracy szpicy ubezpieczającej oddziały w marszu, pracy szperaczy, szyki bojowe i przesuwanie się oddziału pod ogniem, porozumiewanie się nocą. Niemal wszystkie ćwiczenia były ubezpieczane.

Wspomniany teren do ćwiczeń był przeznaczony przede wszystkim dla mojej drużyny, ale wykorzystywany był także dla całego plutonu. Pamiętam takie ćwiczenia, które odbywały się jesienią 1943 roku. Plutonem dowodził wówczas jego dowódca, podchorąży Lis. Było to spore zgrupowanie ludzi jak na warunki okupacji i szalejących hitlerowców . Ćwiczenia odbywały się z bronią, a większa część żołnierzy musiała przebyć do miejsca ćwiczeń niezbyt bezpieczną drogę o długości od 3 do 5 km. Żołnierze i podoficerowie pokazali na tych ćwiczeniach wiedzę i umiejętności zdobyte ciężką i wytrwałą pracą w ciągu długich tygodni i miesięcy. Było to niejako podsumowanie szkolenia, a jednocześnie jego zakończenie. Ćwiczenia w terenie dały bardzo dużo, szczególnie tym, którzy nie odbyli normalnej służby wojskowej. Według oceny dowódcy plutonu, Lisa, a także nas, dowódców drużyn – żołnierze zostali bardzo dobrze wyszkoleni i stali się pełnowartościowymi i zdolnymi do wykonania każdej akcji w terenie.

Jeżeli chodzi o moją drużynę, to muszę stwierdzić, że w szkolenie, systematycznie kontrolowane przeze mnie, została włożona ogromna praca. Także dowódca plutonu, Lis, parę razy kontrolował przebieg szkolenia w różnych jego fazach. Zdaję sobie jednak sprawę, że nawet najlepsi nauczyciele i wzorowa kontrola nie zapewniłyby takich rezultatów, gdyby nie nieodparta chęć zdobywania wiedzy przez samych żołnierzy. Tak ogromnych chęci i celujących wyników, jakie osiągali ludzie w konspiracji, nie spotkałem już więcej w swoim życiu. Gdybym miał dzisiaj wyróżnić najlepszych z drużyny, to musiałbym bez wahania podać wszystkich. Różnice mogą być tylko takie, że jedni mieli więcej zadań do wykonania, inni mniej. Biorąc to pod uwagę podaję parę osób – tych najlepszych z bardzo dobrych. Byli to: Stanisław Główka ps. „Komar", Leopold Woźnica ps. „Krzak", Zygmunt Papis ps. „Dzięcioł", Stanisław Kozłowski ps. „Kłos".

Obecnie, po wielu latach od tych chwil, kiedy znam różne oceny pracy Armii Krajowej, jako żołnierz i dowódca drużyny stwierdzam, że nie zostaliśmy należycie ocenieni.

# Raport

**Cel szkolenia:**

- zapoznanie z podstawowymi zasadami pracy konspiracyjnej,

- opanowanie podstawowych wiadomości z zakresu:

a) budowy, działania i obsługi broni ręcznej, maszynowej i innego sprzętu w działaniach partyzanckich (granaty, butelki z benzyną, łomy, słupołazy),

b) służby wartowniczej,

c) wyszkolenia bojowego ze szczególnym uwzględnieniem działania nocą.

**Godziny i czas szkolenia:**

- przeważnie pora wieczorowa, a w dni świąteczne nawet w dzień. Czas około 2 godz. Wiele zależało od lokalnych możliwości i sytuacji w terenie.

**W szkoleniu brali udział:**

- wszyscy zrzeszeni, którzy nie odbyli normalnej służby wojskowej, pozostali podlegali szkoleniu uzupełniającemu. W szkoleniu specjalistycznym (pirotechnika) wytypowana grupa 6 żołnierzy.

**Szkolenie prowadzili:**

- sekcyjni, drużynowi, dowódca plutonu i specjalista-pirotechnik z VII Obwodu „Obroża".

**Rezultaty szkolenia:**

- opanowanie przerobionego materiału teoretycznego i ćwiczeń praktycznych było bardzo dobre.

**Bolesław Papis ps. „Cygan"**

# Akcja na torach

Wizji lokalnej miejsca akcji dokonali: Bartosz (ppor. Ryszard Roś), Lis (plut. pchor. Jan Kowalski) i Wiarus (plut. Stefan Roś), którzy następnie dokładnie rozpracowali przebieg działania. Była to jedna z pierwszych akcji w terenie, do której przywiązywaliśmy dużą wagę. Mogła ona być wykonana przy znacznie mniejszej liczbie żołnierzy, ale ze względu na praktyczne przeszkolenie zaangażowano całą drużynę Wiarusa (13 żołnierzy). Uzbrojeniem naszym w tej akcji były tylko 4 rewolwery i dwa karabiny, dostarczone na miejsce zbiórki przez drużynowego Wiarusa. Oprócz broni mieliśmy 3 piły poprzeczne i 3 nożyce do cięcia drutu.

Miejsce zbiórki to zadrzewienie po zachodniej stronie małej rzeczki na wysokości wiatraka we wsi Cisie. Stąd do torów kolejowych było około 300m. Teren akcji był dobrze znany wszystkim uczestnikom, którzy brali w niej udział, dlatego poruszanie się po nim nie przedstawiało żadnych trudności. Zbiórka została wyznaczona na godz. 23.45. Dopiero rankiem tego samego dnia wszyscy biorący udział w akcji żołnierze dowiedzieli się o niej. Na miejsce zbiórki każdy musiał dojść indywidualnie, znając hasło i odzew.

Dzień ten był odpowiedni na akcję, gdyż wiał dość silny wiatr zachodni, a więc prostopadły do torów kolejowych, co utrudniało bardzo przenoszenie głosu wzdłuż torów. Oprócz wiatru było mokro i zimno, czyli typowa listopadowa pogoda. Aby na czas dotrzeć do wyznaczonego miejsca zbiórki wyszedłem z domu o godz. 23.00. Z Halinowa miałem do przebycia 3 km niezbyt wygodnej drogi. Szedłem sam przez łąki z lewej strony majątku Skruda i w pobliżu tej rzeczki, przy której jest punkt zborny. Majątek lepiej było ominąć z dala, gdyż nierzadko zaglądali tam Niemcy, a potężne i bardzo czujne psy dziedzica natychmiast dawały znać o zbliżających się nieproszonych gościach.

Było ciemno i wietrzno, ale na szczęście nie padał deszcz. Idąc rozmyślałem o wielu sprawach związanych z toczącą się na śmierć i życie potworną wojną. Sytuacja naszego kraju była przecież szczególnie ciężka.
Przez nasze ziemie przewalały się teraz ogromne ilości sprzętu wojennego i wojska kierowane na front wschodni, który szybko przesuwał się w głąb ziemi radzieckiej, zagarnianej przez hitlerowców.

Najbardziej zastanawiała mnie odporność narodu polskiego, który w tych okropnych warunkach nie załamywał się i wierzył w ostateczne zwycięstwo. Dowodem tego byli także i ci żołnierze z okolicznych miejscowości, zdążający teraz, podobnie jak ja, do wykonania zadania utrudniającego w jakimś stopniu Niemcom prowadzenie wojny.

Ta nasza pierwsza akcja w terenie potwierdza to, o czym my żołnierze, powiedzieliśmy sobie we wrześniu 1939 roku. Wojnę z Niemcami przegraliśmy, ale walkę prowadzimy dalej, aż do całkowitego zwycięstwa. Na razie skrycie i na małą jeszcze skalę, ale szeregi ruchu oporu bardzo szybko rosną i natężenie walki będzie się wzmagało, aż wreszcie przyjdzie dzień, kiedy staniemy do otwartej walki z okupantem i wyjdziemy z niej zwycięsko.

Tak rozmyślając, nie wiadomo kiedy znalazłem się na miejscu zbiórki. Tu był już dowódca akcji Bartosz i drużynowy Wiarus . W ciągu paru minut dobiła do nas reszta uczestników. Teraz ppor. Bartosz omówił krótko przebieg akcji, wydał stosowne rozkazy i ubezpieczeni wyruszyliśmy w kierunku torów kolejowych.

W ubezpieczeniu, którym dowodziłem, było czterech uzbrojonych żołnierzy. Po dojściu do torów Sum i Grot zajęli stanowiska od strony stacji Dębe Wielkie z zadaniem ubezpieczenia ścinających słupy. Ja z Wilkiem i Klonem z identycznym zadaniem zajęliśmy stanowiska od strony stacji Skruda (obecnie Halinów).

Grupa żołnierzy do ścinania słupów z ppor. Bartoszem przebiegła teraz szybko na przeciwną stronę torów pod wyznaczone słupy telegraficzne. Nastąpiło szybkie, jednoczesne ścinanie trzech słupów drewnianych, które powalone zostały w kierunku torów kolejowych. Dokonało tego w przeciągu paru minut dziewięciu ludzi, po trzech przy każdym słupie. Najgłośniej zrobiło się wówczas, kiedy pod ciężarem słupów zaczęły pękać przewody metalowe, powodując przeraźliwe świsty, biegnące po drutach w stronę Dębego i Skrudy (Halinowa), ale była to już prawie końcowa faza zadania. Jeszcze tylko sprawne poprzecinanie przewodów, leżących już na ziemi i praca zakończona.

Wszyscy wiedzieli, że mają szybko wycofać się na pozycję wyjściową, z dala od torów kolejowych. Najdłużej pozostało na stanowiskach ubezpieczenie, ale już wkrótce znaleźliśmy się także w pobliżu drużyny, ubezpieczając ją przy wycofywaniu. Tu, z dala od

torów kolejowych, chwila wytchnienia. Pomimo brzydkiej pogody wyczuwało się wśród żołnierzy duże zadowolenie ze sprawnego i bezpiecznego wykonania zadania. Wszyscy jednak dobrze zdawali sobie sprawę z tego, że wykonano najważniejsze, ale do zakończenia całej akcji należy jeszcze możliwie szybko i bezpiecznie dotrzeć do domu. Dowodzący akcją ppor. Bartosz serdecznie wszystkim podziękował i według ustalonego planu, przeważnie po dwie osoby, opuszczano teren zbiórki, udając się do domów. Jako ostatni wyszli ci, którzy posiadali broń i dowódcy.

Niektórzy żołnierze mieli do przebycia jeszcze około czterech kilometrów, aby znaleźć się w domu. Ja przez pewien odcinek drogi wracałem z Bartoszem i Wiarusem. Niemal szeptem, ale sporo rozmawialiśmy o sytuacji w kraju i na froncie wschodnim, a także o naszej podziemnej robocie. Wszędzie było bardzo ciężko, a pomimo to społeczeństwo było pewne zwycięstwa, a młodzi ludzie rwali się do walki z okupantem. Wspominaliśmy także o dalszych naszych akcjach w terenie, ale przede wszystkim że powinniśmy zdobyć trochę broni, bo bez niej trudno myśleć o akcjach w terenie. Niebawem rozstaliśmy się. Bartosz i Wiarus udali się w kierunku Krzewiny", a ja do Halinowa.

Kiedy byłem już w pobliżu domu, usłyszałem, dochodzący z wiatrem, gwizd lokomotywy z kierunku Warszawy – na pewno z Miłosny, oddalonej o 5 km od Halinowa. Nasłuchiwałem jeszcze przez kilka minut, ale nie było słychać nadjeżdżającego pociągu. Na pewno zatrzymał go brak łączności i do frontu wschodniego dojedzie z opóźnieniem. Pomyślałem, że do gmachu zwycięstwa dorzuciliśmy naszą cegiełkę. Dopiero następnego dnia specjalna ekipa przywróciła łączność, ale trwało to parę ładnych godzin.

## Raport

**Cel akcji:**

-utrudnienie opóźnienie w transporcie zaopatrzenia frontu wschodniego;

-pokazanie okupantowi istnienia i działania ruchu oporu;

-podnoszenie w społeczeństwie ducha przetrwania i walki;

-praktyczne zastosowanie szkolenia teoretycznego żołnierzy w terenie.

**Czas akcji:**
listopad 1941r., 10 minut około godz. 0.00.

**Rezultat akcji:**
- zniszczenie linii telegraficznej na długości około 200 m przez ścięcie trzech słupów drewnianych i poprzecinanie przewodów.

**Straty własne:**
- nie było.

**Jan Kowalski ps. „Lis”**

# Akcja z flagą w Halinowie

Był kwiecień 1943 roku. Pomimo, że wszyscy przewidziani na akcję dobrze znali stację kolejową w Halinowie i najbliższy teren wokół niej, dokładnego rozpoznania terenu dokonaliśmy w trójkę – Bartosz, Lis i Marysia. Wszyscy pozostali, przewidziani na tę akcję, otrzymali także polecenie zapoznania się z terenem we własnym zakresie. Wykonanie zadania – zawieszenie polskiej flagi narodowej – było na pozór proste, ale trzeba było wziąć pod uwagę to, że na stacji kolejowej można było natknąć się na Niemców, na przejeżdżający pociąg lub przypadkowych przechodniów. Dlatego przygotowania były bardzo staranne i dokładne, a na wykonanie zadania przewidziano żołnierzy najwyższej klasy.

Zbiórkę wyznaczono na godzinę 22.45 za ogrodem Władysława Paszczykowskiego, także członka AK. Miejsce to było bezpieczne i nie uczęszczane przez ludzi. Już o 22.30 czekałem z flagą na uczestników, gdyż tu właśnie mieszkałem. Jako pierwszy przybył Bartosz, a następnie kolejno pozostali uczestnicy. Wszyscy byliśmy uzbrojeni i dysponowaliśmy trzema stenami, czterema rewolwerami i trzema karabinami. Szeregowy Bakulik miał słupołazy, obcęgi i puszkę ze smarem. Flaga miała być zawieszona na słupie drewnianym przed wejściem na peron stacji. Od miejsca zbiórki do stacji dzieliła nas odległość około 700 m.

Podporucznik Bartosz krótko podał zadanie, wydał odpowiednie rozkazy, po czym ubezpieczeni wyruszyliśmy boczną, mało uczęszczaną ścieżką, którą doszliśmy do drogi, biegnącej przy torach kolejowych. Noc była ciemna, niebo całkowicie zachmurzone, ale dość ciepło i bez deszczu – dla naszego zadania pogoda zupełnie dobra. Do wyznaczonego słupa mieliśmy około 250 m. wzdłuż torów kolejowych od strony Miłosny. Ja z Klonem i Chabrem szliśmy pierwsi jako ubezpieczenie, a parę metrów za nami, po obu stronach drogi, Bartosz z Marysią i resztą grupy. Prawie na środku peronu, przy kasie biletowej, paliło się kilka lamp, ale do miejsca naszego działania światło prawie nie docierało. Niemniej można już było dostrzec zarysy parkanu, zapory na przejeździe itp.

Było cicho i nic nie wskazywało na to, aby groziło nam jakieś niebezpieczeństwo. A jednak, kiedy nasza trójka znajdowała się około 30 metrów od słupa i miała za chwilę przedostać się na przeciwną

stronę torów i peron, aby ubezpieczać wykonujących zadanie, padła seria strzałów z pistoletu maszynowego. Niemal w tej samej chwili dałem rozkaz – padnij! Strzały nie były celne i nie raziły nikogo. Bartosz był parę kroków za mną. Zorientowaliśmy się, że strzały padły z budynku, znajdującego się z lewej strony drogi, około 50 metrów od nas. W tej sytuacji ·albo należało się wycofać, albo zaryzykować i dokładniej zorientować się, na jaką przeszkodę się natknęliśmy. Na peronie było pusto i cicho, a więc przynajmniej z tej najważniejszej strony nic nam na razie nie groziło. Bartosz zaryzykował i wydał rozkaz, żeby Marysia otoczył budynek od strony wschodniej.

Ten wysokiej klasy bojowy podoficer wiedział, co ma robić. We trzech, skokami, zaczęli otaczać budynek. Padła jeszcze jedna seria strzałów, ale teraz zorientowaliśmy się już dokładnie, że strzały oddawane są nie z budynku, ale z ganku od naszej strony. Sytuacja zmieniała się błyskawicznie. Widocznie strzelający zorientowali się, że są otaczani i postanowili ratować się ucieczką. Jedyną nie zagrożoną drogę mieli tylko w kierunku Mińska Mazowieckiego przy torach kolejowych. Usłyszałem charakterystyczne odgłosy osób, uciekających z ganku obserwowanego budynku. Należało przypuszczać, że to Niemcy, ale nie byliśmy jeszcze tego pewni. Za chwilę już dokładnie orientowałem się, że parę osób ucieka bezpieczną dla nich drogą, ale jeden z osobników wybrał krótszą drogę, a mianowicie na peron, na którym było nadal cicho i pusto. Nie przewidział, że przy tej jedynej drodze do peronu znajdują się ci, przed którymi ucieka. Kiedy uciekający zbliżał się do nas, bardzo mdłe światło padające z odległego peronu umożliwiło rozpoznanie go. Był to Niemiec w mundurze i z karabinem w ręku. Kiedy przebiegał parę metrów od nas podałem rozkaz – Chaber, za mną! Obaj podbiegliśmy do niego, powaliliśmy na ziemię i rozbroiliśmy. Niemiec był mocno wystraszony i w pierwszym momencie krzyczał – hilfe, hilfe – ale szybko go uspokoiliśmy. Dowiedzieliśmy się od niego, że było ich czterech i że są z Rembertowa.

Zapanowała cisza. Marysia zameldował, że w budynku jest wszystko w porządku, a Niemcy uciekli drogą przy torach w kierunku Mińska Mazowieckiego i od tej strony działa już nasze ubezpieczenie. Bartosz rozkazał wykonać zadanie. Zaraz wszyscy znaleźli się na wyznaczonych posterunkach, tylko ubezpieczenie od strony Mińska Mazowieckiego zostało wzmocnione, gdyż nie byliśmy pewni, gdzie teraz znajdują się Niemcy. Najprawdopodobniej zdążali ścieżką przy

torach w kierunku najbliższej stacji kolejowej Dębe Wielkie. Na tej stacji mogą być za godzinę, a nam potrzeba tylko parę minut. Bakulik szybko wspiął się na słup i przymocował flagę.

Pochwycony przez nas Niemiec z zawiązanymi do tyłu rękami z przerażeniem przyglądał się tej operacji, ale był cały i zdrowy. Pomyślałem sobie, że gdyby któryś z nas dostał się w ich ręce, to w najlepszym razie znalazłby się w obozie koncentracyjnym . On stracił tylko karabin, bagnet, kilkadziesiąt sztuk amunicji i pas żołnierski, a po skończonej akcji skierowany został na ścieżkę przy torach kolejowych w stronę Warszawy. Do najbliższej stacji Miłosna dojdzie za 45 minut, a większość z nas będzie już wtedy w domu.

I tak bogata dla nas w przeżycia akcja dobiegła końca. Rozeszliśmy się najbezpieczniejszymi drogami do domów, zostawiając wysoko na słupie łopoczącą biało - czerwoną flagę. Wkrótce doleciały do nas odgłosy pociągu, nadjeżdżającego od strony Warszawy, który nie zdążył przeszkodzić nam w wykonaniu zadania.

Byliśmy teraz nie tylko bogatsi o karabin (szkoda, że nie maszynowy) i amunicję, ale o cenne doświadczenia. Kiedy po dwóch dniach Bartosz, Marysia i ja spotkaliśmy się w trójkę w celu podsumowania akcji – a robiliśmy to po każdej takiej wyprawie– nie brakowało i uwag krytycznych. W pierwszym rzędzie doszliśmy do wniosku, że akcja powinna być przeprowadzona w późniejszych godzinach. Godzina 23.00 to zbyt wczesna pora jak na stację kolejową. Nie mieliśmy także dokładnego rozeznania co do budynku, z którego padły strzały. Wprawdzie wiedzieliśmy, że dom ten był zamieszkały przez spokojną, polską rodzinę, ale nie mieliśmy pojęcia o tym, że ganek był całkowicie odizolowany od niego przez dokładne zabicie drzwi deskami. Dlatego na ganek mógł każdy wejść i przebywać na nim, tym bardziej, że dom nie był otoczony parkanem, a na ganku wokół były drewniane wygodne ławki do siedzenia. Kilka metrów od tego ganku był niewielki drewniany dom, w którym znajdował się sklep spożywczy, a w sklepie tym przy pewnych znajomościach można było kupić nawet i bimber. Nie badaliśmy już tego, ale prawdopodobnie Niemcy korzystali ze sklepu, a ponieważ było w nim ciasno, poszli na ganek i tam się rozgościli, co najmniej przy piwie. I tak o godzinie 23.00 przeszkodziliśmy im, a oni nam.

Byliśmy szczęśliwi, że akcja zakończyła się bez własnych strat, ale wyciągnęliśmy jeszcze jeden bardzo istotny wniosek. Przed każdą

akcją należy jeszcze dokładniej rozpracowywać teren, a w pobliżu budynków takich jak w rejonie stacji kolejowej zachować szczególną ostrożność.

Widocznie o niezbyt fortunnym wypadzie z Rembertowa do Halinowa Niemcy nie pochwalili się, skoro flaga wisiała cały dzień i dopiero pod wieczór Bahnschutze zerwali ją specjalnie zrobionym hakiem, bo wejście na posmarowany smarem słup było bardzo trudne. Setki, a może i tysiące ludzi widziało powiewającą flagę, dobrze widoczną także z przejeżdżających pociągów. Ludzie z przyjemnością mówili o tym miłym dla oka i ducha obrazku, a jednocześnie śmiali się w kułak, kiedy do wściekłości doprowadzała hitlerowców już nie flaga, ale wysmarowany słup.

I tak jeszcze jeden trud kilku żołnierzy AK nie poszedł na marne. Wielu Polaków podniósł na duchu, a okupantowi przypomniał, że wygranie walki z tym narodem odsuwa się coraz dalej:

## Raport:

**Cel akcji:**
- umacnianie w społeczeństwie ducha nadziei i walki z hitlerowskim okupantem. Pokazanie faktu, że Polska żyje i walczy ze śmiertelnym wrogiem.

**Czas akcji:**
- kwiecień 1943 r., godzina 23.00. Czas trwania akcji 10 minut bez czasu na dojście.

**W akcji uczestniczyli:**
- podporucznik Bartosz, plutonowy podchorąży Lis, plutonowy Marysia oraz 7 szeregowych: Bakulik, Klon, Chaber i inni.

**Akcją dowodził:**
- podporucznik Bartosz.

**Rezultat akcji:**
- wywieszona na słupie przed stacją Halinów flaga narodowa, zdobyty jeden karabin, kilkadziesiąt sztuk amunicji, bagnet i pas żołnierski.

**Straty własne:**
- nie było.

**Jan Kowalski ps. „Lis”**

# Akcja w gminie w Pustelniku

Był koniec maja 1943 roku. Na kilka dni przed akcją Bartosz, Lis, Wiarus i Wilk dokonali dokładnej wizji lokalnej drogi dojścia oraz terenu działania. Akcja została rozpracowana w najdrobniejszych szczegółach wspólnie z dowódcą plutonu z Pustelnika, gdyż z miejscowego plutonu mieliśmy otrzymać broń, a po akcji ją zdać. Dwa dni przed akcją każdego uczestnika obowiązywało pogotowie, ograniczające oddalanie się od miejsca zamieszkania.

W dniu, wyznaczonym na akcję, pogoda była piękna i śmiało można byłoby powiedzieć, że sprzyjała nam, ale także sprzyjała okupantowi, który znacznie łatwiej mógł kontrolować teren i pewniej się po nim poruszać. Ogólnie jednak biorąc, byliśmy w znacznie lepszej sytuacji od nieprzyjaciela, gdyż teren naszego działania był zalesiony. Także główna droga, którą Niemcy mogli w ciągu 20 minut dojechać do Pustelnika z Mińska Mazowieckiego, na odcinku 9 km, to jest od Dębego do miejsca naszego działania także przebiegała przez las. Niemcy unikali poruszania się po takich drogach, a już szczególnie nocą. Niemniej cała akcja została dobrze ubezpieczona, a zasady konspiracji i działania nocą w całej rozciągłości przestrzegane.

O miejscu zbiórki uczestnicy dowiedzieli się tego samego dnia. Zostało ono wyznaczone na godzinę 21.30 na wschodniej stronie góry piaskowej pod wsią Michałów. Tu każdy z uczestników musiał dojść indywidualnie, głównie z miejscowości Krzewina, Zastawie i Halinów. Ja szedłem na miejsce zbiórki z młodszym bratem ps. „Grot" od Zastawia, mijając z lewej strony Kazimierów, a dalej już zalesionym terenem aż pod górę piaskową. Ten odcinek drogi miał długość około 4 km.

Idąc niewiele mówiliśmy do siebie – być może dlatego, że każdy z nas mimo woli wsłuchiwał się w płynącą w spokojnym powietrzu melodię pieśni nabożnej, na pewno od przydrożnej kapliczki, znajdującej się pod wsią Chobot. Właśnie tę wieś mijaliśmy w odległości około 2 km. Tak, to miejscowi mieszkańcy śpiewają pod tą kapliczką każdego majowego wieczoru nabożne pieśni, a teraz, w czasie okupacji, robią to szczególnie uroczyście. Melodię słychać było wyraźnie, ale słowa urywały się i w miarę oddalania zanikły zupełnie. Te wspólne majowe śpiewy pod kapliczkami dodawały okolicznym mieszkańcom ducha i sił do przetrwania tej potwornej okupacji.

Dla nas, przemierzających długie kilometry drogi, zdążających do wykonania wyznaczonego zadania, ten śpiew, słyszany z oddali, także nie był obojętny.

Na umówione miejsce i czas stawili się wszyscy. Było już ciemno, ale sylwetki ludzi były dostatecznie widoczne. Tu, na miejscu zbiórki, wystąpiła pierwsza nieprzewidziana przerwa. Na zapytanie Bartosza, czy wszyscy dotarli w pełnym zdrowiu, ktoś odpowiedział żartobliwie, że jeden żołnierz jest kulawy. Rzeczywiście, otarta noga sekcyjnego Sęka wyeliminowała go z dalszej drogi. Rozkaz Bartosza był krótki – Sęk, wycofać się do domu! Żołnierze do tej akcji musieli być w pełni sprawni, bo przed nimi były jeszcze długie kilometry drogi. Sęk chciał protestować, ale sprawa była już zakończona.

Po krótkim podaniu przez Bartosza informacji i rozkazów odnośnie celów i miejsc akcji widać było zadowolenie i zapał żołnierzy do działania. Niemcy mieli lada dzień rekwirować na wsiach konie i ściągać nałożone kontyngenty. Nie pierwsza to akcja dla zebranych tu żołnierzy i dlatego po paru minutach dwie grupy operacyjne były gotowe do dalszej drogi. Jedna pod dowództwem Bartosza wykona zadanie w Stanisławowie, a druga, pod dowództwem Lisa, w Pustelniku. Tymczasem obie grupy pod wspólnym dowództwem Bartosza wyruszyły w kierunku Pustelnika, do którego było jeszcze około 5 km.

Droga była prawie bezpieczna, bo zalesiona i z dala od zabudowań. Pomimo to oddział maszerował z ubezpieczeniem. Na razie dysponowaliśmy tylko czterema rewolwerami, gdyż właściwe uzbrojenie otrzymaliśmy dopiero w Pustelniku z magazynu miejscowego plutonu. Tego odcinka drogi nic nie zakłócało. Wokół była cisza i nawet śpiew pod kapliczkami już się zakończył. Tylko od czasu do czasu przerywały ciszę odgłosy szczekania psów z odległych wsi. Żołnierze maszerowali w skupieniu i chyba myśleli o chwili, kiedy otrzymają broń i przystąpią do wykonania zadania. W pobliżu Pustelnika cały oddział zatrzymał się i po paru minutach wszyscy otrzymali broń, którą z magazynu, znajdującego się na miejscowym cmentarzu, dostarczyli żołnierze z tutejszego plutonu. Oczywiście, wtedy nikt z nas nawet się nie domyślał, skąd dostarczono nam broń. Znacznie lepiej została uzbrojona grupa, udająca się do Stanisławowa. Wiadomo – tam przecież był dobrze uzbrojony posterunek policji. Nasza grupa dysponowała dwoma stenami, dwoma rewolwerami, a reszta to karabiny, przeważnie Kbk.

Teraz, zgodnie z ustalonym planem, sekcyjny Wilk z trzema żołnierzami wyszli jako pierwsi w celu przecięcia linii telefonicznej, łączącej gminę Pustelnik z Mińskiem Mazowieckim. Natomiast cały oddział podszedł ubezpieczony w rejon gminy i tu się zatrzymał. Za chwilę przybył Wilk i zameldował o przerwaniu łączności telefonicznej, a jego ludzie ubezpieczali już teren akcji od strony Mińska Mazowieckiego. Na miejscu pozostała grupa, która za kilka minut udała się do Stanisławowa. Grupa, działająca w Pustelniku przystąpiła do wykonania swojego zadania.

Wiarus z dwoma żołnierzami podbiegli pod gminę osłaniani przez Bociana z Chabrem. Działało już także ubezpieczenie od strony Stanisławowa. W pobliżu znajdowali się także Bartosz i Lis. Nagle z budynku gminy ktoś wyszedł. Najbliżej był Wiarus, który oślepił go latarką elektryczną i krzyknął:
– ręce do góry! Okazało się, że był to nocny dozorca. Szybko został wepchnięty do budynku. Był zaskoczony i zdenerwowany, ale po chwili wrócił mu spokój. Udzielił nam informacji i chętnie służył pomocą. Drzwi wewnętrzne do pomieszczeń gminy były zamknięte, a dozorca nie miał kluczy. Padł rozkaz Bartosza, aby wyważyć drzwi. Za chwilę byliśmy w pomieszczeniach gminy. Wszystko odbyło się bardzo szybko i sprawnie. Była cisza i spokój. Dochodziła godzina 23.00. Bartosz przekazał dowodzenie Lisowi, a sam, z oczekującą opodal gminy grupą żołnierzy udał się do Stanisławowa, odległego od Pustelnika o ponad 7 km. Był tam dopiero po godzinie 24.00.

Tu, w gminie, każdy wie co ma robić. Są cztery osoby do pracy plus chętny do pomocy dozorca. Nie ma czasu na dokładne segregowanie dokumentów, ale wspólnie z Wiarusem dokonujemy pobieżnie przeglądu, aby w pierwszym rzędzie zniszczyć najbardziej potrzebne dokumenty. Jest tego bardzo dużo, a wszystko trzeba wynieść przed budynek i tam spalić.

Pomimo użycia nafty, grube księgi i segregatory paliły się zbyt wolno. Jeden z żołnierzy bez przerwy mieszał stosy dokumentów, aby dokładniej je spalić. Ognisko i jasność od niego dawały znać o sobie w promieniu kilkudziesięciu metrów. Tu i ówdzie w okolicznych domach uchylały się okna, a nawet drzwi, bo widok ogniska o północy niepokoi. Niektórzy próbowali wyjść przed dom, ale szybko zostali cofnięci przez ubezpieczających całą akcję. Prawie półtorej godziny trwało palenie dokumentacji. Przez cały czas było spokojnie i cicho. Tylko przewracane w ogniu dokumenty wydawały jakiś dziwny

szmer, a tysiące iskier ulatywały w górę i szybko znikały, zabierając ze sobą w dalekie przestworza miliony zapisanych informacji, których odtworzenie przez okupanta było bardzo trudne, a w niektórych przypadkach nawet niemożliwe. O godzinie 0.45 akcja została zakończona, to znaczy dogasające ognisko zalane wodą, a dozorca zamknięty od zewnątrz w budynku gminy i dla jego dobra związany i przymocowany do fotela, aby do rana nie miał możliwości działania.

Powrót do domów odbył się tą samą drogą. Najpierw w ustalonym miejscu pod Pustelnikiem zwróciliśmy broń, z której nie padł ani jeden strzał i z tego mogliśmy się cieszyć. Wszyscy chłopcy byli zadowoleni z przeprowadzonej akcji i ciekawi reakcji Niemców. Do góry piaskowej pod Michałowem szliśmy całą grupą, oczywiście ubezpieczeni, a stamtąd, zachowując ostrożność, po dwóch i w pewnych odstępach czasu rozeszliśmy się do swoich miejscowości.

Ja wracałem z Grotem i w czasie drogi zadawaliśmy sobie pytanie – jak też wypadła akcja w Stanisławowie? Następnego dnia dowiedzieliśmy się, że w Stanisławowie padły strzały, ale nasi szczęśliwie wrócili wszyscy. Jak dokładnie wyglądało tam działanie całej bojowej grupy, mogą opowiedzieć tylko ci, którzy tam byli. Po przeprowadzonych akcjach Niemcy byli wściekli, ale nie zastosowali żadnych represji. Za to okoliczna ludność była uszczęśliwiona i jednocześnie wewnętrznie umocniona jakże pożytecznym działaniem „leśnych".

Kiedy znalazłem się przed swoim domem w Halinowie, dochodziła godzina 2.30 nad ranem i nawet nie dziwiło mnie, że przemierzyliśmy tej nocy prawie 20 km, wykonaliśmy w pewnym napięciu nerwowym wyznaczone zadanie i po tym wszystkim prawie nie czułem zmęczenia. Tak – to nieodparta chęć walki z hitlerowskim okupantem dodawała mi siły i nadziei do pełnego zwycięstwa, które jeszcze powoli, ale systematycznie się zbliżało.

## Raport:

**Cel akcji:**

- zniszczenie dokumentów w gminie Pustelnik – przede wszystkim ewidencji ludności, dokumentacji gospodarczej – kontyngenty, podatki itp.

**Czas akcji:**

- 30 maja 1943 r. godz. 23.00. Czas trwania akcji 1,5 godz. bez czasu na dojście.

**W akcji uczestniczyli:**

- podporucznik Bartosz, plutonowy podchorąży Lis, plutonowy Wiarus oraz 10 żołnierzy - Wilk, Grot, Bocian, Chaber i inni.

**Akcją dowodził:**

- podporucznik Bartosz (do chwili opanowania gminy), a następnie plutonowy Lis.

**Rezultat akcji:**

- spalono wszystkie przewidziane dokumenty, łączność telefoniczną z Mińskiem Mazowieckim przerwano.

**Straty własne:**

- nie było.

**Jan Kowalski ps. „Lis”**

# Transport broni z Wesołej

Był koniec sierpnia 1943 roku, kiedy wezwał mnie plutonowy Stanisław Parkot ps. „Wichura" i rozkazał, abym w dniu jutrzejszym zameldował się u niego o godzinie 11.00 w normalnym ubraniu roboczym. O zadaniu, jakie mamy wykonać, dowiem się przed wyjazdem, a czas trwania naszej pracy przewiduje się na około 5 godzin. Ciekawy byłem, co to za zadanie w biały dzień, ale wszystko co przewidywałem to były tylko przypuszczenia. Domyślałem się, że będzie to czyszczenie broni, bo pora dnia i czas 5 godzin na to wskazywały.

Następnego dnia zgłosiłem się na umówioną godzinę u plutonowego Wichury we wsi Desno. Na podwórzu stał koń z wozem gotowy do drogi. Zaraz też wyszli z domu bracia Parkotowie. Starszy z nich, Stanisław, był kawalerem, a młodszy Edward ps. „Piorun" był żonaty i prowadził gospodarstwo rolne. Obaj byli znacznie starsi ode mnie, odbyli już dawno normalną służbę wojskową, a ja byłem tylko szeregowym po częściowym przeszkoleniu w AK. Młodszy, Edward, był bardzo impulsywny, Stanisław zaś był bardziej opanowany, ale obaj uchodzili w okolicy za ludzi bardzo odważnych i mocno zaangażowanych w pracy podziemnej. Dzisiaj Stanisław, jako 80-letni zasłużony człowiek przebywa pod Warszawą w domu spokojnej starości, a Edward przekazał swoje gospodarstwo rodzinie i jako emeryt mieszka z żoną w małym domku także pod Warszawą. Wspominam o tym dlatego, że byli to rzeczywiście odważni żołnierze. Wiele ryzykowali i wiele według mnie zrobili dla Ojczyzny, szczególnie starszy z nich, Stanisław.

Po chwili dowiedziałem się od Wichury, który był dowódcą naszej trzyosobowej grupy, że za chwilę wyruszamy wozem po broń, która znajduje się obecnie w leśniczówce za Wesołą w pobliżu Rembertowa. Jeśli z jakiegoś powodu nie mógłbym wziąć udziału w tej akcji, to mogę zaraz wrócić do domu do wsi Cisie odległej od Desna o kilometr. Nawet nie pomyślałem o wycofaniu się. Widocznie z mojej miny Wichura odczytał odpowiedź, bo zaraz zdecydował:

- No, już dobrze, dobrze. Jedziemy.

Byłem zadowolony, że za chwilę otrzymam rewolwer, a może nawet stena i czekałem cierpliwie na ten moment. Teraz dowódca

poinformował mnie o zadaniu, które polegało na przywiezieniu wozem, w biały dzień, broni z leśniczówki, znajdującej się w lesie przed Rembertowem, na teren naszego plutonu.

Pomimo, że jedziemy po broń, zadanie to wykonamy bez broni – dodał Wichura.

Ta wiadomość zamurowała mnie trochę, ale widocznie tak było trzeba i tak będzie lepiej. Pierwszy raz biorę udział w takiej akcji – po broń bez broni.

Moim zadaniem było obserwowanie drogi i najbliższego jej otoczenia od tyłu wozu i meldowanie o każdym zagrożeniu. Po paru minutach były podane już wszystkie informacje i rozkazy, a oczekujący koń z wozem ruszył w drogę, posłuszny swemu gospodarzowi Edwardowi. Na razie, jadąc w kierunku Cisia, potem Halinowa, Długiej Kościelnej, Długiej Szlacheckiej i Miłosny nie przewidywałem żadnego zagrożenia, gdyż były tu drogi polne, a na nich mały ruch. Dlatego miałem trochę czasu na rozmyślania na temat naszej akcji. Na pewno wszystko zostało dobrze opracowane i przygotowane do wykonania tego zadania, ale pomimo dużego zaufania do dowódcy miałem szereg pytań, na które starałem się sobie odpowiedzieć.

A więc, dlaczego ta akcja jest w dzień i bez broni? W tę stronę – zgoda – nic nam nie grozi i nawet dobrze, że bez broni. Ale z powrotem?! A gdyby to zadanie wykonać nocą? Wówczas wóz konny odpada całkowicie. W Wesołej blisko szosy na poligonie są Niemcy i ich całodobowe posterunki. Trzeba byłoby obejść poligon od strony Zielonki i wyjść w okolicach Okuniewa. Teraz mamy do przebycia 16 km w jedną stronę, zaś przy wyprawie pieszej około 25 km i to bardzo ciężkiej drogi zalesionej i podmokłej. Należałoby wówczas dojechać w dzień do leśniczówki i nocą przenieść broń. Oczywiście nie trzech żołnierzy, a przynajmniej ośmiu lub więcej, w zależności od ilości transportowanej broni. Tak rozmyślając doszedłem do wniosku, że nic lepszego nie uda się wymyśleć.

Z drugiej strony jest to jednak akcja bardzo ryzykowna. Przychwycenie nas z bronią oznacza śmierć dla nas, a może i naszych rodzin. Wiedziałem, że przewożenie broni w podobny sposób jak my mamy to wykonać, jest niemal na porządku dziennym w dużych miastach, a więc przy dużym ruchu na jezdniach i ulicach. Tu, przy stosunkowo małym ruchu na drogach, ryzyko jest o wiele większe. Skontrolować pojedynczy wóz na drodze to dla Niemców bardzo

prosta sprawa, a ucieczka prawie niemożliwa. W czasie naszej wyprawy może zaistnieć wiele nieprzewidzianych spraw, ale my liczymy tylko na te najlepsze.

Moje rozważania zostały przerwane w Miłośnie przez paru Niemców, rozprawiających głośno przy stojącym na jezdni samochodzie terenowym, obok którego przed chwilą przejechaliśmy. Jak długo będą się jeszcze panoszyć w naszym kraju... pomyślałem i mimo woli wzmogła się we mnie fala nienawiści do znienawidzonego okupanta. Wichura z Piorunem też przerwali jakąś rodzinną rozmowę. Teraz jechaliśmy już szosą i należało się liczyć ze znacznie większym ruchem i to pojazdów niemieckich. Do leśniczówki było jeszcze około 7 kilometrów. Pogoda była przyjemna przy temperaturze blisko 20 stopni, chociaż niebo było zachmurzone.

Dojeżdżając do Wesołej minęliśmy koszary z wojskiem niemieckim, a w pobliżu szosy ich posterunek przy bramie wjazdowej i wejściu dla pieszych. Na szosie mijały nas różne pojazdy konne i samochody, ale naszym wozem nikt się nie interesował. Około 3 km za stacją w Wesołej, z prawej strony szosy, prowadzi do lasu niepozorna droga w którą skręciliśmy i po chwili zatrzymaliśmy się przy budynkach leśniczówki. Zaraz przywitał nas gajowy Józef Wysocki (pseudonimu nie pamiętam), który tu mieszkał i osobiście go znaliśmy. Z informacji, jakie posiadał gajowy, nie występowało jakieś szczególne zagrożenie dla nas, które nakazywałoby przewiezienie broni w innym czasie, np. wieczorem lub innego dnia. Teraz mogliśmy spokojnie porozmawiać nawet godzinę czy dwie, ale kiedy zacznie się załadowywanie broni, pobyt nasz musi być możliwie najkrótszy.

Zdecydowano, że nasz pobyt będzie trwał tylko około 15 minut, to jest tyle, aby koń mógł się posilić przed dość długą drogą powrotną. To zresztą już się odbywało, bo gospodarz Edward słynął z tego, że koń w jego gospodarstwie był wyjątkowo zadbany i ceniony. Wszyscy byli bardzo spokojni i w dobrych humorach, a o rozpoczęciu naszej niebezpiecznej drogi miał zadecydować Piorun, kiedy jego ulubieniec będzie gotów do drogi. Uzgodniono również podział pracy przy załadowywaniu broni. Moim zadaniem było obserwowanie terenu wokół leśniczówki, a szczególnie drogi dojazdowej, gdyż zabudowania były bardzo blisko szosy (około 60-70 metrów).

Po 15-20 minutach rozpoczęło się szybkie ładowanie wozu. Na podwórzu leśniczówki nie było nikogo więcej tylko trzech

mężczyzn sprawnie krzątających się przy wkładaniu na wóz worków oraz drzewa opałowego. Broń była już odpowiednio przygotowana w paczkach zawiniętych w worki. Paczki te zostały ukryte pod starannie przygotowane dla nas siedzenie. Z mojego rozeznania tu w leśniczówce, a potem na nowym miejscu, dokąd została przewieziona, było kilkanaście sztuk broni, z czego rozpoznałem thompsona, a także steny. Nie pytałem ile i jaką broń przewoziliśmy, bo lepiej było nie wiedzieć o tym. W przypadku „wpadki" mieliśmy twierdzić, że broń tę w pośpiechu i bez oglądania kupiliśmy na targu w Rembertowie od nieznanych nam ludzi z myślą o sprzedaży z zarobkiem. Wiedziałem, że do takiej sytuacji nie może dojść, aby Niemcy mieli nas w ręku. Załadowanie broni, a także trochę drewna, trwało około 5 minut i o godzinie 13.30 wyruszyliśmy w drogę powrotną z kwitem na drewno opałowe, serdecznie żegnani przez Józefa. Na wozie byliśmy rozlokowani identycznie jak poprzednio, a jazda odbywała się normalnym kłusem, ale chyba nieco wolniej ze względu na większe obciążenie. Na szosie był mniejszy ruch na pewno ze względu na porę obiadową. Gdzieś pomiędzy Wesołą a Wolą Grzybowską zobaczyłem dwa ciężarowe samochody wojskowe jadące szybko od strony Warszawy. Natychmiast zameldowałem o tym dowódcy, który podziękował za wiadomość i rozkazał bratu zjechać bliżej prawego pobocza. Wypełnione wojskiem samochody wyprzedziły nas z szumem. Mijały nas jeszcze pojedyncze samochody i inne pojazdy, ale nie pojawiło się nic takiego na szosie, co by stwarzało dla nas bezpośrednie zagrożenie. W Miłośnie Wichura zrezygnował z lepszej drogi biegnącej blisko stacji kolejowej, ale bardziej niebezpiecznej i pojechaliśmy bocznymi gorszymi drogami przez osiedle, wyjeżdżając na drogę prowadzącą do Długiej Szlacheckiej. Dalej jechaliśmy przez Długą Kościelną, Kazimierów i do miejsca przeznaczenia, to jest wsi Mrowiska.

Zatrzymaliśmy się dopiero na wschodnim krańcu wsi u gospodarza Stanisława Kostki ps. „Bocian", który był przygotowany do tego spotkania. Dopiero teraz dowiedziałem się dokąd przywieźliśmy nasz bagaż. Kapral Bocian prosił, aby wjechać do otwartej stodoły i tu nastąpiło wyładowanie broni oraz części drzewa opałowego. Ja byłem w tym czasie na podwórzu i bacznie obserwowałem teren wokół gospodarstwa. Po paru minutach broń była już ukryta w nowym miejscu, a tym samym nasze zadanie zostało wykonane. Teraz Wichura uścisnął wszystkim dłonie i serdecznie podziękował za jeszcze jeden trud dla wyzwolenia Ojczyzny.

Do domu braci Parkotów mieliśmy jeszcze 3 kilometry, ale była to już tylko końcowa przejażdżka do wsi Desno. Jadąc rozmawialiśmy o sytuacji wojennej i o naszej pracy, której rezultaty były już widoczne, ale przed nami jeszcze wiele ciężkich dni i wyrzeczeń. Przy pożegnaniu z Wichurą i Piorunem nie ukrywaliśmy naszego zadowolenia z pomyślnie zakończonej akcji. Ja przyszedłem do domu około godziny 16.00 w pogodnym nastroju.

Do końca okupacji brałem jeszcze udział w różnych akcjach, ale dość obszernie opisałem właśnie tę, gdyż była ona dla każdego chyba żołnierza bardzo specyficzna. W akcji takiej albo zdobywa się wszystko co zostało zaplanowane, albo płaci najwyższą cenę. Jakie wyjście moglibyśmy mieć, gdyby napotkani Niemcy chcieli skontrolować nasz pojedynczy wóz jadący drogą? Z jednej strony mieliśmy ogrodzony poligon, a na nim koszary wojskowe, a z drugiej strony tory kolejowe. Praktycznie ucieczka była niemożliwa, a my byliśmy bez broni. Taką sytuację brał jednak pod uwagę plutonowy Wichura. Dopiero później dowiedziałem się, że w drodze powrotnej, a więc gdy na wozie mieliśmy pakunki z bronią, Wichura miał przy sobie ukryty granat obronny, który zostałby użyty w krytycznym momencie, aby nie dostać się żywym w ręce oprawców.

A więc w naszej akcji, tak jak się domyślałem, nie byliśmy całkowicie bezbronni i mieliśmy przysłowiową ostatnią kulę. Dla mnie jedno było pewne – zawsze wolałem brać udział w takich akcjach, kiedy miałem broń w ręku i mogłem walczyć. Zdawałem sobie jednak sprawę z tego, że w tamtym okresie transport broni to spora część naszej podziemnej pracy.
W opisanej akcji trzeba było w dużym stopniu liczyć na szczęście i dzisiaj mogę powiedzieć, że wtedy i do końca okupacji bardzo nam ono sprzyjało.

## Raport

**Cel akcji:**
- przewiezienie broni z okolic Rembertowa do Mrowisk, ukrycie jej w bezpiecznym miejscu.

**Czas akcji:**
- koniec sierpnia 1943r. godz. 13.00 - 18.00.

**W akcji uczestniczyli:**
- Wichura, Piorun, Szczupak.

**Rezultat akcji:**
- broń przewieziona w nowe, bezpieczne miejsce.

**Straty własne:**
- nie było.

**Henryk Grzelak ps. „Szczupak”**

# Ubezpieczenie oddziału specjalnego

Końcowe miesiące 1943 roku i pierwsze roku 1944 aż do wyzwolenia, charakteryzowały się wzmożoną działalnością oddziałów partyzanckich oraz zakonspirowanych oddziałów miejscowych. Także na naszym terenie dało się to odczuć. Właśnie na początku października tego roku otrzymałem od zastępcy dowódcy IV kompanii, ppor. Bartosza, bardzo interesujące, a jednocześnie poważne zadanie. Chodziło o to, aby możliwie szybko przygotować na naszym terenie, we wsi Wielgolas, kwatery dla oddziału liczącego około 70 osób. Potrzebne było udzielenie mu wszelkiej pomocy od strony gospodarczej, jak również ubezpieczenie oddziału, który w zależności od potrzeby mógł przebywać na naszym terenie nawet parę dni. O przybyciu oddziału do Wielgolasu miałem być zawiadomiony przez plutonowego Marysię. Na załatwienie kwater miałem dwa dni.

Na razie wprowadziłem w tę sprawę swojego zastępcę Stanisława Główkę ps. „Komar" i wspólnie dokonaliśmy przeglądu możliwości zakwaterowania tak dużego oddziału. Miałem także wyraźnie zaznaczone, aby oddział po zakwaterowaniu nie był zbyt rozproszony. Rozumie się, że kwatery powinny być możliwie bezpieczne, a więc z dala od szosy, przy której położony jest Wielgolas. Biorąc to wszystko pod uwagę doszliśmy do wniosku, że najodpowiedniejszym miejscem zakwaterowania będzie Stary Wielgolas. Zabudowania tej wsi znajdują się przy łąkach, przez które przepływa mała rzeczka Mienia, a przy niej wiele krzewów i drzew. Na kwaterę w swoim gospodarstwie bez wahania zgodził się mój zastępca, Komar. Dalsze trzy kwatery należało dopiero załatwić. Niezbyt pocieszające było to, że dwie z wytypowanych przez nas kwater były u rolników niezrzeszonych w naszych szeregach. Pomimo to postanowiliśmy sprawę załatwić.

Osobiście udałem się do tych gospodarzy, a wynik rozmów przeszedł nasze oczekiwania. Wszyscy zgodzili się bez żadnych skrupułów przyjąć po 17 osób z oddziału. Prosili tylko, aby wszelkie sprawy związane z zakwaterowaniem były załatwiane wyłącznie przeze mnie. Było to bardzo słuszne przede wszystkim ze względu na bezpieczeństwo. Wiedziałem, że tak w naszej wsi jak i w tych najbliższych, ludność jest całkowicie po stronie walczącego podziemia,

czyta nasze gazetki i jest chętna służyć pomocą, ale nie myślałam, że aż w takim stopniu. Przecież nie chodziło tu o parogodzinne zakwaterowanie kilku żołnierzy, ale o parodniowy pobyt tak licznego oddziału w czterech gospodarstwach. Byłem i jestem pełen uznania dla tych ludzi i ich rodzin. Przecież Niemcy w tym okresie dosłownie szaleli i gospodarze ci zdawali sobie z tego sprawę. W przypadku wykrycia oddziału – wieś i jej mieszkańcy zginęliby w płomieniach własnych gospodarstw lub od kul hitlerowców.

Pomyślne załatwienie sprawy kwater było dla nas wielką sprawą, ale jednocześnie czułem ogromny ciężar odpowiedzialności, jaki na mnie spoczął. Kwatery w czterech gospodarskich stodołach i częściowe wyżywienie oddziału, ta główna część mojego zadania – była już załatwiona. Wszystkie inne sprawy związane z przemarszem i postojem oddziału, a w tym z koniecznością jego ubezpieczenia, załatwią bez trudności żołnierze z mojej drużyny. Zaraz też złożyłem meldunek o pomyślnym załatwieniu kwater i czekałem na przybycie oddziału. Ciekawy byłem skąd i dokąd tak duży oddział się przemieszcza z parodniowym postojem w Wielgolesie, ale prędko doszedłem do wniosku, że lepiej teraz o tym nie wiedzieć.

Następnego dnia otrzymałem wiadomość, że oddział przybędzie do mnie jutro około północy, a przyprowadzi go mój kolega, plutonowy Marysia. Pospiesznie zawiadomiłem rolników o terminie przybycia oddziału na kwatery. Jednocześnie zarządziłem pogotowie w drużynie dla żołnierzy wyznaczonych do pełnienia służby. Tymczasem kwatery ostatecznie zostały przygotowane w stodołach, przystosowanych do wykorzystania ich w warunkach polowych. Także żołnierze z mojej drużyny byli przygotowani do odprowadzenia i ubezpieczenia oddziału. Cały oddział będzie ubezpieczony w czasie przemarszu do kwater przez moich żołnierzy, szczególnie od strony szosy.

Następnego dnia, a była to chyba sobota, zameldował się u mnie o godzinie 23.30 plutonowy Stanisław Grzelak ps. „Marysia" z całym oddziałem. Oddział zatrzymał się w pobliżu mojego gospodarstwa i dowódca oddziału i chyba jego zastępca uzgodnili ze mną najważniejsze w tej chwili sprawy. Zgodzili się ze mną co do planu działania z naszej strony, a ponadto prosili, aby stacja kolejowa Dębe Wielkie oraz szosa, przebiegająca przy tej stacji, były dobrze obserwowane przez dyżurującą tam czujkę. Dosłownie w przeciągu paru minut wszystko było uzgodnione i jako pierwszy na

kwaterę do swojego gospodarstwa ze sprzętem i 17-osobową grupą żołnierzy wyruszył mój zastępca, Komar. Ja natomiast z pozostałą częścią oddziału, podzieloną na 3 grupy po 17 osób, szedłem tuż za grupą prowadzoną przez Komara. Było pochmurno i ciemno, ale dość ciepło. Już od pierwszego zetknięcia z oddziałem bardzo mnie on zainteresował. Niewiele mogłem zobaczyć, ale stwierdziłem, że oddział ten był bardzo zdyscyplinowany i dobrze uzbrojony jak na ówczesne warunki. Trudno mi dzisiaj powiedzieć ile i jaką mieli broń, ale na pewno rozpoznałem pistolety maszynowe, a także rkm i zwykłe karabiny. Poza tym oddział dysponował sprzętem bliżej mi nie znanym, ulokowanym w pojemnikach, a także namiotami i kocami. Żołnierze to byli młodzi ludzie, bardzo różnie ubrani, przeważnie po cywilnemu, ale niektórzy mieli mundury i prawie wszyscy jakieś płaszcze czy peleryny.
Odniosłem wrażenie, że żołnierze byli zmęczeni i na pewno chętnie zdążali do przygotowanych kwater. Ile jeszcze takich nocy i dni muszą spędzić ci i wszyscy inni żołnierze, aby już nie z ukrycia przystąpić do walki z okupantem? Obecnie możemy tylko utrudniać i dezorganizować tyły wroga, aby przyspieszyć posuwanie się frontu otwartej walki. A ilu z tych maszerujących teraz w skupieniu żołnierzy doczeka wyzwolenia Ojczyzny?

Tak rozmyślając nie zauważyłem, jak znaleźliśmy się przy kwaterach. Zgodnie z prośbą rolników ja wprowadziłem grupy do gospodarzy niezrzeszonych, natomiast mój zastępca jedną grupę do siebie, a drugą do swojego kolegi ps. „Struś". Pogoda nam sprzyjała, bo parę minut wcześniej zaczął padać deszcz i w znacznym stopniu zagłuszył wszelkie odgłosy i utrudniał widoczność. Dlatego chyba nawet nikt z sąsiadów nie zauważył lokujących się w stodołach żołnierzy, co przebiegało bardzo cicho i sprawnie. Po kilkunastu minutach wracałem już do domu, zadowolony z wykonanej pracy.

Co do ubezpieczenia oddziału uzgodniono, że będą to czujki jednoosobowe w dzień i dwuosobowe w nocy. W dzień bez broni, w nocy z bronią. Szczególny nacisk został położony na czujkę w Dębem Wielkim z baczną obserwacją ruchu Niemców na szosie i stacji kolejowej. Czujka pełniła swoje zadanie od świtu do godziny 19. Łącznie pełniły służbę cztery czujki z zadaniem meldowania mnie o zagrożeniu. Ja natomiast miałem łącznika, przez którego w każdej chwili mogłem wysłać meldunek do oddziału.

Minęła noc, potem dzień (chyba niedziela), znowu noc i nic nie wskazywało na zagrożenie kwaterującego spokojnie w stodołach oddziału. Aż tu drugiego dnia przyjechał pospiesznie na rowerze z Dębego obserwator i zameldował, że do majątku ziemskiego p. Tabiszewskiego, położonego w pobliżu stacji kolejowej Dębe Wielkie, przyjechało kilka samochodów niemieckich z wojskiem. Pomimo nie wyleczonej jeszcze po postrzale nogi, postanowiłem pojechać rowerem i zbadać na miejscu to poważne zagrożenie. Jadąc ponad 3 km skojarzyłem sobie pewne fakty, a mianowicie krążące może przed godziną nad Dębem samoloty niemieckie, które musiały coś wykryć w terenie. Kiedy dojechałem do Dębego, rzeczywiście potwierdziło się to, o czym zameldował obserwator.

Natychmiast udałem się osobiście do oddziału i zameldowałem jego dowódcy o zagrożeniu. Ten z miejsca zarządził ostre pogotowie i przygotowanie do wymarszu, co odbywało się pospiesznie, ale bez paniki. Dowódca oddziału prosił mnie, abym pomógł zdobyć wóz z koniem i przewieźć ich sprzęt na nowe miejsce, gdyż bardzo to im ułatwi szybszy przemarsz do następnego punktu, odległego o 8 km. Od razu zdecydowałem, że ja to zrobię i będę przy kwaterach na wskazaną godzinę. Jeszcze przed wieczorem otrzymałem następny meldunek z Dębego, że Niemcy odjechali z majątku, ale ich zachowanie wskazywało na to, że czegoś poszukiwali. Byłem przekonany, że chodziło o ten właśnie oddział, przebywający w Wielgolesie, odległym od wspomnianego majątku o około 2 km. Natychmiast przekazałem ten meldunek do oddziału, ale decyzja o zmianie miejsca pobytu została utrzymana.

Zgodnie z umową przyjechałem wozem do kwater żołnierskich o godzinie 23.00 i tu jeden z żołnierzy mojej drużyny, szeregowy Wiktor Główka ps. „Pierwotny" zaskoczył mnie niezwykłą sprawą. Otóż zameldował mi, że opuszcza na nieokreślony bliżej okres czasu swój dom rodzinny i wyrusza z kwaterującym tu oddziałem, aby prowadzić bardziej otwartą walkę z okupantem. Sprawę ma już uzgodnioną z dowódcą oddziału, a do mnie zwrócił się z prośbą o pozwolenie odejścia z drużyny. Były już przypadki w naszym plutonie, że żołnierze przechodzili do oddziałów partyzanckich, ale byli to ludzie spaleni, poszukiwani przez żandarmerię . Co do Pierwotnego, taka konieczność nie zachodziła, a więc jest to jeszcze jeden dowód jak bardzo ci zakonspirowani żołnierze chcieli walczyć z okupantem. Jeśli więc szeregowy Pierwotny wyraził chęć przyłączenia się do

zbrojnego oddziału, a dowódca na to się zgodził, to mogłem tylko życzyć mu szczęśliwego powrotu do nas po zakończeniu wojny. Tak też uczyniłem.

Po kilkunastu minutach wóz był załadowany sprzętem i o godzinie 23.30 ubezpieczony oddział wyruszył do wsi Lipowo, w pobliżu miejscowości Glinianki, o czym dowiedziałem się dopiero przed wymarszem. Przed wyjazdem zarządziłem, aby mój zastępca zwolnił czujki obserwacyjne o północy. W ten sposób akcja została na naszym terenie zakończona. Cały oddział maszerował dość szybko, bo żołnierze byli wypoczęci, a cięższy sprzęt znajdował się na wozie, który jechał za oddziałem ze mną i dwoma uzbrojonymi w pistolety maszynowe żołnierzami. Było pochmurno i ciemno, ale dość ciepło i bezdeszczowo. Z krótkich wypowiedzi dowódcy i paru żołnierzy z oddziału domyśliłem się, że Niemcy, którzy nagle przyjechali do majątku p. Tabiszewskiego pod Dębem Wielkim, poszukiwali ich radiostacji, która musiała na kwaterze pracować, a obecnie na pewno jest na moim wozie. Prawdopodobnie, a są to moje domysły, Niemcom nie udało się namierzyć pracującej radiostacji. Ich namiar na szczęście wypadł na majątek i stąd penetracja tego obiektu. Uświadomiłem sobie, co by to było, gdyby namiar radiostacji był dokładny – parę samochodów Niemców uzbrojonych po zęby i nieźle uzbrojony oddział 70 ludzi, którzy teraz zdążali do następnego punktu. Czyżby ten, jak na nasze warunki duży oddział miał, za zadanie tylko osłonę radiostacji? Ta sprawa nigdy dla mnie do końca nie była jasna.

Było już po godzinie 1.00, kiedy oddział zbliżył się do wsi Lipowo. Znałem dobrze te tereny i pomyślałem, że tu dla radiostacji będą lepsze warunki niż u nas. Moje zadanie zakończyło się po szczęśliwym przebyciu około 8 km. Tu, w pobliżu wsi, oddział zatrzymał się, gdyż czekali już na niego AK-owcy z miejscowego terenu, którzy pewnie tak jak my zajmą się tym ciekawym, a jednocześnie tajemniczym oddziałem. Mój wóz został opróżniony, a dowódca podziękował mi za przyjęcie i opiekę na naszym terenie.
Szczególnie prosił, aby jeszcze raz podziękować rolnikom za gościnne i spokojne kwatery. Znalazł się także przy mnie szeregowy Pierwotny, który zasilił oddział i jeszcze raz na pożegnanie uścisnęliśmy sobie dłonie ze słowami: – Cześć, cześć, do zobaczenia po wojnie!

Wracając do domu wiele rozmyślałem o tym, co przeżyliśmy i co nas jeszcze czeka. Pocieszające było to, że Niemcy już nie szli do przodu, ale przeciwnie – cofali się, a front nieuchronnie zbliżał się do

wschodnich granic Polski. Kiedy dotarłem do domu, była godzina 3.00 po północy. Następnego dnia specjalnie wybrałem się do dzielnych rolników, którzy brali udział w tej akcji, aby jeszcze raz podziękować im w imieniu dowódcy oddziału i AK-owców z naszej wsi. Jeden z gospodarzy wówczas powiedział: „Cieszmy się, że mieliśmy trochę szczęścia, ale pamiętajmy o tym, że oddział ten w dalszym ciągu jest na celowniku hitlerowców".

W tym miejscu pragnę wymienić tych ofiarnych gospodarzy, którzy dopiero ode mnie dowiedzieli się o najeździe Niemców na majątek w Dębem Wielkim, poszukujących oddziału, który u nich kwaterował. Byli to: Stanisław Główka ps. „Komar" , Eugeniusz Krawczyk ps. „Struś" i niezrzeszeni Józef Woźnica i Aleksander Świtkowski.

Do końca okupacji nie mówiło się wiele o pracy podziemnej, a i o tym oddziale nie było już mowy. Wykonaliśmy jeszcze szereg innych akcji, przechodziły także przez nasz teren różne oddziały, ale najbardziej intrygował mnie pobyt tego ciekawego oddziału i jego praca w terenie w tak bardzo trudnym okresie. Po wyzwoleniu losy życiowe zmusiły mnie do opuszczenia Wielgolasu, niemniej docierały do mnie różne opowieści o działalności podziemia i między innymi o tym wędrownym oddziale, którym opiekowałem się w Wielgolesie. Byli podobno w tym oddziale cichociemni, a radiostację, na którą tak polowali Niemcy, obsługiwał podobno mój znajomy z plutonu Józef Miłosz ps. „Biały", który potem brał udział w Powstaniu Warszawskim, również przy obsłudze radiostacji. Biały przeżył zawieruchę wojenną, ale nigdy nie miałem okazji go spotkać. Powrócił także z interesującego mnie oddziału Pierwotny, ale również nie miałem szczęścia go zobaczyć. Być może ci dwaj zaspokoiliby moją ciekawość odnośnie losów tego oddziału.

Nawet teraz, po 43 latach (pisane w 1986r. – przyp. red.) rad bym dowiedzieć się prawdy, nie tylko o historii wspomnianego oddziału, ale i o wielu innych, nie znanych szerzej sprawach z działalności AK. Zbyt mało, według mnie, ukazało się prac na te tematy, a jeśli nawet się ukazały, to w bardzo małym nakładzie w porównaniu z potrzebami, a szkoda.

## Raport:

**Cel akcji:**

- ubezpieczenie i zakwaterowanie oddziału specjalnego. Stan 70

żołnierzy i oficerów.

**Czas trwania akcji:**
- dwie doby.

**W akcji brali udział:**
- dowódca drużyny kapral Cygan
- zastępca dowódcy drużyny szeregowy Komar
- 7 żołnierzy z drużyny: Struś, Pierwotny i inni.

**Akcją dowodził:**
- kapral Cygan.

**Rezultat akcji:**
- zakwaterowanie 70-osobowego oddziału i udzielenie pomocy w jego pracy i dalszym przemarszu do wsi Lipowo k/Glinianki, pow. Mińsk Mazowiecki.

**Bolesław Papis ps. „Cygan”**

# Zniszczenie zlewni mleka

Byłoby znacznie lepiej, gdyby tę akcję opisał plutonowy Marysia, który był wówczas dowódcą, ale niestety ten dzielny i zasłużony podoficer już od szeregu lat nie żyje. Także część żołnierzy z którymi brał udział w różnych akcjach również nie żyje. Dlatego pokrótce przypomnę tę akcję, bo była ona dość charakterystyczna dla tamtych czasów, kiedy żołnierze rwali się do walki z okupantem i często ich działalnie graniczyło z brawurą, od której tak blisko do śmierci. Obecnie trochę inaczej patrzę na przeprowadzoną przed laty akcję, ale kiedy staną mi przed oczami potworne lata okupacji, zepchnięci do podziemia żołnierze i zmęczone, wyniszczone społeczeństwo, to nie dziwię się, że wiele akcji podejmowanych przeciwko znienawidzonemu wrogowi graniczyło ze śmiercią. Oczywiście rozsądek nakazywał, aby zawsze brać pod uwagę wielkość sprawy, za którą oddawali życie. W przypadku akcji na zlewnię mleka nie była to aż tak wielka sprawa, aby przeprowadzać ją w sposób tak brawurowy, ale ponieważ zakończyła się dla nas szczęśliwie, zostaliśmy chyba z tego rozgrzeszeni.

Otóż w listopadzie 1943 roku plutonowy Marysia otrzymał zadanie zniszczenia urządzeń zlewni mleka w Koniku, znajdującej się przy szosie, prowadzącej z Warszawy przez Mińsk Mazowiecki i dalej na wschód. Konik to niewielka miejscowość, oddalona od Warszawy o około 18 km. Ja miałem służyć Marysi pomocą. Dlatego wspólnie rozważyliśmy dokładnie możliwości wykonania zadania. Znaleźliśmy tylko dwa rozwiązania.

Pierwsze to wyruszenie z Wielgolasu, gdzie mieszkałem, odległym od Konika o około 6 km. Poruszanie się oddziału szosą było wykluczone. Dlatego należało bocznymi drogami, przez Halinów i Józefin, dotrzeć do Konika. Uciążliwa to droga i zbyt daleka, bo około 10 km w jedną stronę. Podczas rozważań doszliśmy też do wniosku, że bardzo przydałyby się nam bańki od mleka na podręczne schowki broni, szczególnie na granaty i materiały wybuchowe dla sekcji pirotechnicznej. Bańki były nierdzewne, zamykane dość szczelnie i do powyższego celu bardzo się nadawały. Przy wyprawie pieszej zdobycie baniek odpadało.

Po dokładnej analizie postanowiliśmy więc przyjąć drugie rozwiązanie, nieco brawurowe, które umożliwi nam pełne zrealizowanie zamierzeń, ale tylko wtedy, jeśli dopisze nam szczęście.

Do tego rozwiązania potrzebny był środek lokomocji. Najlepszy byłby samochód, ale skąd go wziąć? Musieliśmy zadowolić się moim najlepszym ogumionym wozem konnym i nie najgorszym koniem.

Po tych ustaleniach dokonaliśmy z Marysią, jadąc wozem, wizji lokalnej drogi dojazdu i otoczenia zlewni. Obserwowaliśmy także przez parę nocy ruch na szosie i przyjęliśmy, że wyjazd z Wielgolasu nastąpi o godz. 0.30, a powrót około 1.20. W tym czasie zaobserwowaliśmy stosunkowo najmniejszy ruch na szosie. Zdawaliśmy sobie sprawę z ogromnego ryzyka. Przecież jakakolwiek próba zatrzymania nas na szosie przez Niemców musi spowodować rozlew krwi. Liczyliśmy jednak na to, że nikt nas nie będzie chciał zatrzymać.

Na umówiony dzień Marysia zarządził u mnie zbiórkę biorących udział w akcji najlepszych żołnierzy dobrze uzbrojonych. Ja i Marysia mieliśmy broń krótką, a pięciu żołnierzy pistolety maszynowe – steny i po dwa granaty obronne. Wóz przygotowałem jak na targ, odpowiednio wysłany sianem i przykryty plandeką, pod którą mieli być ukryci żołnierze z bronią w ręku. Koń natomiast otrzymał dobrą kolację i był gotowy do drogi. Przy wozie, zgodnie z przepisami – zawieszona była specjalna lampa naftowa. Dopiero teraz żołnierze zostali dokładnie poinformowani o zadaniu i każdemu przydzielono czynności do wykonania w zlewni mleka. Jeszcze Marysia ulokował żołnierzy odpowiednio na wozie, sam zajął środkowe miejsce z lewej strony i reszta należała do mnie.

Zgodnie z planem o godzinie 0.30 wyruszyliśmy w drogę. Ja miałem teraz dwie funkcje: woźnicy i dowódcy. To na mój sygnał Marysia ze swoimi żołnierzami przystąpi natychmiast do akcji. Zdawałem sobie sprawę z tego, że muszę zachować zimną krew, mieć oczy otwarte na wszystko, co będzie działo się na szosie i w pobliżu niej oraz prawidłowo oceniać sytuację. Przecież może zdarzyć się tak, że ktoś będzie chciał od nas pomocy albo informacji, a każdy, kto będzie chciał nas zatrzymać, może być wrogiem. Starałem się teraz zapomnieć o tym, że każdy z nas zostawił najbliższych, którzy także się denerwują, ale nie bardzo to wychodziło. W takiej sytuacji wiele różnych myśli przebiega przez głowę i siłą rzeczy wytwarza jakieś dziwne uczucie. Za chwilę skręcę w lewo i znajdziemy się wszyscy na szosie, która jest jedną z głównych dróg łączących zaplecze okupanta z frontem wschodnim. To tędy jadą nie tylko pojedyncze samochody wojskowe, ale nierzadko całe ich kolumny. Już jesteśmy na szosie i tylko koń jak zawsze posłuszny biegnie kłusa, wolną na razie od

pojazdów szosą i nie myśli o grożącym mu także niebezpieczeństwie, od czasu do czasu wesoło parskając.

Noc była ciemna, niebo mocno zachmurzone, a wokół ciemno i pusto. Tylko od palącej się i z lekka kołyszącej lampy naftowej mdły strumień światła padał i nieco oświetlał to przednią, to znów tylną część wozu. Po dwóch, a może trzech minutach jazdy dojrzałem z prawej strony zarysy zabudowań gospodarskich, które stawały się coraz wyraźniejsze natomiast lampa przy wozie jakby mocniej świeciła. Natychmiast odwróciłem się do tyłu i ujrzałem w odległości stu, a może więcej metrów za nami dwa długie światła reflektorów samochodowych. Już wyraźnie słychać było szum silników. Niemal odruchowo zjechałem bardziej na prawą stronę szosy i stawiałem sobie pytanie – zatrzyma nas czy pojedzie dalej? W tej chwili przypomniało mi się żartobliwe powiedzenie Marysi, w momencie kiedy przykrywałem ich plandeką na jadącym teraz wozie. *„Boluś, gdyby ktoś przeszkadzał ci jechać do Konika, to tylko daj znać ...”* Czy to powiedzenie miało się teraz spełnić?

W myślach powstawało szereg pytań... Czy to tylko jeden samochód, czy z wojskiem, ilu żołnierzy do nas się zbliża itp. Za parę chwil wszystko się wyjaśniło. Zobaczyłem, jak coraz bardziej oświetlana jest lewa strona i pobocze szosy, a więc samochód wyprzedzał nas na nieco zwolnionym biegu. Był to jeden ciężarowy samochód zakryty starannie plandeką. Chyba wojskowy, ale dokładnie nie rozpoznałem go. Nie wiem co czuli teraz żołnierze pod nakryciem na moim wozie, bo ja z ulgą odetchnąłem. Szum samochodu już ucichł, mijaliśmy teraz zabudowania przy szosie, od których dopływało do nas jakieś przyjazne szczekanie psa.

Niezbyt długo byliśmy sami na szosie. Już z daleka zobaczyłem światła jadącego w naszą stronę samochodu – jednego, drugiego, trzeciego, które kolejno wyjeżdżały z niżej położonego odcinka szosy. Nie było wątpliwości – były to samochody wojskowe z żołnierzami i jakimś sprzętem. Przejechały z dużym szumem obok nas i na szczęście nie zainteresował ich nasz konny zaprzęg. Co pewien czas przejeżdżały jeszcze inne samochody, zwykle w kierunku Mińska Mazowieckiego, ale żaden nie miał zamiaru nas zatrzymywać. Aż strach pomyśleć – jeśli któryś z nich chciałby to zrobić, wtedy polałaby się krew.

Kiedy przejeżdżaliśmy ten sam odcinek drogi z Marysią

i robiliśmy wizję lokalną, jakoś szybko nam się jechało, a teraz czas się dłużył i miałem wrażenie, że Konik, do którego zdążaliśmy, oddalił się. Pomimo, że wewnętrznie byłem już spokojny, to nadal cisnęły się do głowy różne myśli i powodowały jakieś dziwne napięcie. Oby tylko nie natknąć się na żandarmów albo SS-manów ... Przejeżdżających tu z dala od frontu żołnierzy Wehrmachtu nie interesują zbytnio takie pojazdy jak nasz. Wreszcie po 20 minutach byliśmy na miejscu. Wóz zatrzymałem na dalszym poboczu szosy, pod drzewami w pobliżu zlewni i teraz Marysia ze swoimi ludźmi przystąpił do wykonania właściwego zadania. W czasie oczekiwania na wykonujących zadanie krzątałem się koło wozu, pozorując jakąś drobną naprawę.

Była godzina 1.00. Akurat w tym czasie przejazdy samochodów ustały, a koń, jakby rozumiejąc całą sprawę, zachowywał się wyjątkowo cicho. W ciągu paru minut Marysia był już z żołnierzami w środku budynku, w którym była zlewnia mleka. Tam zniszczyli wszystkie urządzenia, jakie tylko mogli i pospiesznie, ale bardzo ostrożnie i cicho wynieśli kilka pięknych aluminiowych baniek, na które było przewidziane w wozie odpowiednie miejsce. Po niespełna 10 minutach cała szóstka znalazła się jak poprzednio na wozie i kłusem odjechaliśmy w drogę powrotną, równie niebezpieczną.

Czułem, że w drodze powrotnej koń biegnie szybciej, ale to było na pewno złudzenie. Także i teraz przejechały obok nas dwa czy trzy samochody, ale naszym wozem nie interesowały się. Wreszcie nastąpił koniec niebezpiecznej jazdy, skręciłem w prawo w boczną wiejską drogę i za dwie minuty byliśmy na miejscu, tj. na podwórzu mojego gospodarstwa. Tu wszyscy się uściskaliśmy, a bańki zostały zabrane do ukrycia przez czterech żołnierzy z mojej drużyny, którzy już na nas czekali. Tylko Marysia ze swoimi uzbrojonymi ludźmi miał jeszcze trochę pracy, ale już w atmosferze odprężenia. Musieli jeszcze przejść przez szosę i tory kolejowe do wsi Cisie, odległej około 2,5 km od Wielgolasu, a tam ukryć w magazynie broń i spokojnie odpocząć.

Następnego dnia zameldowaliśmy o wykonaniu zadania, ale nie chwaliliśmy się, w jak sposób przeprowadziliśmy całą akcję, gdyż zbyt dużo ryzykowaliśmy. Czasami wracam myślami do tej brawurowej i szalenie lekkomyślnej akcji i wtedy nasuwa mi się ten sam wniosek – a jednak mieliśmy dużo, dużo szczęścia ...

W kilka lat po wojnie, kiedy spotykałem niektórych ludzi z okupacyjnego podziemia, w rozmowach dowiedziałem się, że ta akcja,

którą opisałem, została nazwana „piorunującą", ale kto i dlaczego taką dał nazwę – nie dowiedziałem się nigdy. Może to i dobre określenie, ale tylko lokalne i używane tylko w naszym plutonie.

## Raport:

**Cel akcji:**
- Utrudnienie w funkcjonowaniu gospodarki okupanta przez zniszczenie urządzeń zlewni mleka. Przez parę dni mleko pozostało do dyspozycji rolników.

**Czas akcji:**
- 0.30 w nocy, czas trwania akcji (bez dojazdu) - 10 minut.

**W akcji udział wzięli:**

- Marysia, Cygan i pięciu żołnierzy z drużyny Marysi: Pierwotny, Piorun, Figiel, Sprężynka, Szczupak.

**Akcją dowodził:**
- dowódca drużyny plutonowy Marysia.

**Rezultat akcji:**
- Zniszczenie urządzeń zlewni mleka. Przez parę dni nie była czynna.

**Straty własne:**
- Nie było, broń nie była użyta.

**Bolesław Papis ps. „Cygan"**

# Akcje w urzędach gminnych

W swoich wspomnieniach pragnę opisać dwie podobne akcje, ale wykonane w zupełnie różnych warunkach. Chodzi o zniszczenie dokumentów w gminach Sulejówek i Okuniew w powiecie warszawskim. Zanim przystąpię do właściwego opisu, najpierw przypomnę, że działo się to w maju 1944 roku. W tym okresie wyraźnie wyczuwałem ożywiony ruch w naszych AK-owskich szeregach, nastawiony na walkę z okupantem. Głównym powodem tego była sytuacja na frontach wojennych, a szczególnie szybkie zbliżanie się frontu wschodniego do granic Polski. Jakieś ogromne podniecenie wyczuwało się także w społeczeństwie. Na pewno teraz zachodziła jeszcze większa niż dotąd potrzeba wzmożenia dywersji na tyłach wroga. Dlatego w przeciągu tylko tego jednego miesiąca brałem udział aż w trzech akcjach sabotażowo-dywersyjnych.

W mojej drużynie działalność ta była nazbyt dobrze widoczna i czasami można było się obawiać, czy nie nastąpi dekonspiracja. Jednak mieszkańcy naszych miejscowości, chociaż sporo widzieli, udawali, że nic nie widzą i stanowili jednolity front z nami – żołnierzami.

Trudno nie wspomnieć tu o wyróżniającym się na naszym terenie w walce z okupantem dowódcy niewielkiego oddziału, plutonowym Stanisławie Grzelaku ps. „Marysia", który z całym poświęceniem dezorganizował Niemcom funkcjonowanie gospodarki i zaopatrzenie frontu. Był to niezwykle odważny i mądry dowódca, nieżyjący już od wielu lat, ale jest to oddzielny rozdział, który może kiedyś ktoś opisze. Właśnie pod jego rozkazami brałem udział w trzech akcjach, z których dwie pokrótce opiszę.

**Leopold Woźnica ps. „Krzak"**

# Akcja w gminie Sulejówek

Dzień przed akcją otrzymałem od swojego drużynowego, Cygana, rozkaz stawienia się wieczorem o godzinie 20.00 w domu Komara w Wielgolesie. Tu bowiem dowódca oddziału dywersji bojowej, kapral Marysia odbywał ze swoim oddziałem narady, odprawy i szkolenia. Tak było i tym razem. Kiedy zameldowałem się o oznaczonej godzinie u Komara, był już Marysia i trzech kolegów, z którymi nie tak dawno uczestniczyłem w akcji zniszczenia zlewni mleka w Koniku Nowym, przy szosie Warszawa - Siedlce. Wszyscy przywitali mnie serdecznie, a po chwili witaliśmy pozostałych dwóch kolegów z sześcioosobowej grupy, która tu się zameldowała. Na wstępie Marysia poinformował nas, że cała ta grupa żołnierzy weźmie udział w następnej akcji pod jego dowództwem. Akcja będzie polegała na zniszczeniu ważnych dla gospodarki okupanta dokumentów w gminie Sulejówek i zostanie przeprowadzona w dniu jutrzejszym, to jest 2 maja o godzinie 18.30. Ma to być godzina wkroczenia do budynku gminy.

Prawdę mówiąc, zostałem trochę zaskoczony godziną akcji, bo 18.30 to jeszcze biały dzień, ale równocześnie zdawałem sobie sprawę z tego, że o jakichkolwiek zmianach nie może tu być mowy. Marysia, ze swoim zastępcą, Pierwotnym, dokonali już wizji lokalnej w terenie i cała akcja została dokładnie rozpracowana. Nie pamiętam już dzisiaj, w jakiej kolejności podawał nam Marysia wszystkie potrzebne informacje, odnośnie całej akcji, ale wiem, że była ona omawiana bardzo dokładnie i to w różnych sytuacjach, w jakich mogliśmy się znaleźć. Jak powiedział Marysia, część z nas nie brała jeszcze udziału w akcjach dziennych i dlatego niektóre fragmenty naszego działania musiał szczególnie mocno podkreślić. Bronią były ukryte pod płaszczami steny. Ubiór nie rzucający się w oczy i konieczny płaszcz. Użycie broni może mieć miejsce tylko w sytuacji krytycznej. Bardzo dokładnie zostało także omówione nasze wycofanie się po zakończonej akcji.

Wyjazd do Sulejówka zaplanowano pociągiem elektrycznym ze stacji Dębe Wielkie o godzinie 18.15 z tym, że Marysia z Figlem wsiądą do pociągu na stacji Halinów (dawniej Skruda). Razem w pociągu mogło być tylko dwóch uczestników akcji. Wejście do urzędu odbędzie się przez służbowe mieszkanie jednego

z pracowników gminy, które ma z nią połączenie. Zniszczenia dokumentów dokonają: Pierwotny, Piorun i Figiel przez ich podarcie i wymieszanie. Jest to najmniej skuteczny sposób zniszczenia, ale tylko takie rozwiązanie mogło tu być zastosowane. Marysia uczulił nas na stacjonujące w pobliżu oddziały SS - w willi Marszałka Piłsudskiego i w najbliższych domach, z nią sąsiadujących. Akcja przebiegała będzie około 400 metrów od tego niebezpiecznego rejonu. W przypadku konieczności wycofania się, musi ono nastąpić do lasu, położonego około 300 metrów na zachód od gminy. Liczymy wówczas na rychło zapadający zmrok i noc. Teraz wyjaśniła się wyznaczona godzina akcji. Przy pomyślnym jej przebiegu powrót odbędzie się pociągiem elektrycznym. Dla bezpieczeństwa Pierwotny, Piorun i Burza odjadą ze stacji Miłosna, odległej o 1 km od miejsca akcji, pozostali z Sulejówka. Marysia omawiał wiele jeszcze szczegółów, związanych z całą akcją, takich jak zachowanie w drodze, a szczególnie w pociągu, na peronie, w pomieszczeniach gminy i na posterunkach ubezpieczających. Na zakończenie odprawy otrzymaliśmy broń i wszyscy rozeszli się w pogodnych nastrojach. Wracając do domu, ze stenem pod płaszczem, podziwiałem piękny majowy wieczór i przyrodę budzącą się do życia. Jednocześnie rozmyślałem o jutrzejszej akcji i prześledziłem w myślach to, o czym była mowa na odprawie, a szczególnie zastanawiałem się nad zadaniem, jakie otrzymałem od dowódcy.

Następnego dnia byłem bardzo zajęty wiosennymi pracami w gospodarstwie rodziców, ale nie opuszczała mnie myśl o zbliżającej się godzinie akcji, niemal pod bokiem hitlerowskich oddziałów SS. Już parę minut przed odjazdem pociągu byłem na peronie stacji kolejowej Dębe Wielkie. Widziałem tu także swoich kolegów, czekających na pociąg, ale zgodnie z zaleceniami nie zbliżaliśmy się do siebie. Obserwowałem ich uważnie, czy przypadkiem nie uwidacznia się w jakiś sposób broń pod ich płaszczami i stwierdziłem, że wszystko jest w porządku.

Zaraz przyjechał pociąg i po chwili byłem w jego wnętrzu. Nie wchodziłem do przedziału, ale szybko rozejrzałem się wokół, czy nie ma jakiegoś zagrożenia. Nie było zbyt ciasno, dlatego łatwo zobaczyłem Pierwotnego, który także widział mnie i tak powinno być w czasie przejazdu. Chodziło o udzielenie koledze pomocy w razie potrzeby. Na następnej stacji Halinów (dawniej Skruda) wsiadł Marysia i Figiel. Po sześciu minutach byliśmy w Sulejówku. Już na

peronie wystąpiła korzystna dla nas sytuacja, ponieważ równocześnie przyjechał pociąg z Warszawy. Pewniej mogliśmy iść w większej grupie ludzi. Jako pierwsi opuścili peron i udali się pojedynczo na wyznaczone posterunki ubezpieczające Burza, Kawka i piszący te słowa Krzak. Burza ubezpieczał od strony Warszawy, Kawka od strony, gdzie jest główna część Sulejówka, a ja od strony Mińska Mazowieckiego. Gmina była zlokalizowana przy ulicy, biegnącej wzdłuż torów kolejowych, naprzeciw peronu, nieco w głębi ogrodzonej posesji. Tam też udali się w pewnych odstępach Marysia z Figlem i Pierwotny z Piorunem. Bez trudności weszli na ogrodzony teren posesji. Jak przebiegała główna część akcji w budynku gminy, zrelacjonuje „Figiel".

*Marysia znał bardzo dobrze cały budynek i dlatego szybko znaleźliśmy się pod drzwiami wejściowymi do mieszkania wspomnianego już urzędnika gminy. Specjalnie, nerwowo zapukał do drzwi i oznajmił, że ma bardzo ważną i pilną sprawę od jednostki wojskowej do gminy i musi natychmiast ją przekazać. Kiedy drzwi zostały otwat1e, nasze działanie potoczyło się szybko według planu. Zaraz za nami weszli Pierwotny i Piorun. Rodzina urzędnika musiała odpoczywać, w jednym pokoju, w towarzystwie Marysi.*

*Urzędnik był przerażony, ale udostępnił nam pomieszczenia gminy, otworzył biurka i szafy, a także wskazał, gdzie znajdują się interesujące nas dokumenty. Trzech z nas przystąpiło do darcia dokumentów, ale nie szło to szybko. Skorzystaliśmy z pieca i paliliśmy część papierów, ale przebiegało ono także opornie. Na zniszczenie dokumentów mieliśmy 40 minut, ale po wstępnych czynnościach pozostało nam niewiele ponad pół godziny. Część papierów udało się spalić, ale duża ich ilość pozostała w pokoju, tworząc dużą pryzmę podanych i wymieszanych różnych dokumentów. Na pewno nie dało się tego poskładać i cała pryzma musiała trafić do kosza na śmieci. Tu, przy tej pracy w gminie, czas upływał nam bardzo szybko, ale o jego przedłużeniu nawet nie było mowy. Zastępca dowódcy, Pierwotny, pilnował czasu z zegarkiem w ręku i o określonej porze wyszedł razem z Piorunem. W minutę po ich wyjściu gminę opuścił Marysia wraz ze mną, Figlem.*

Kiedy trójka naszych kolegów z dowódcą ciężko pracowali w gminie, nam na posterunkach także nie było słodko, gdyż czas jakby wolniej tu płynął, a poza tym byliśmy dobrze widoczni dla przechodzących osób. Wiedzieliśmy także, że na tej ulicy gdzie był posterunek Burzy i mój, pojawiali się w ciągu dnia SS-mani.

Dlatego musieliśmy być wyjątkowo czujni. Burza był najbliżej bramy wejściowej na teren gminy i ten rejon musiał bacznie obserwować, a szczególnie drogę, prowadzącą do kilku domów, gdzie kwaterowali Niemcy. Kawka pełnił służbę na mniej widocznym miejscu i miał pod obserwacją główną ulicę prowadzącą przez Sulejówek i domy znajdujące się po obu jej stronach. Ja miałem baczenie na peron stacji kolejowej i drogę prowadzącą przy torach do stacji Miłosna oraz domy położone przy niej. W miarę naszej żołnierskiej wiedzy, staraliśmy się nie zwracać na siebie uwagi, prowadząc obserwację swoich rejonów. Po pewnym czasie zerknąłem na zegarek i stwierdziłem bez zachwytu, że minęło dopiero 15 minut naszej służby, a więc nawet nie połowa zaplanowanego czasu. Mijały jeszcze długie minuty, a słońce także wolno chowało się za lasem. Jego czerwone promienie oświetlały teraz dachy domów i wierzchołki drzew po przeciwnej stronie torów kolejowych. Nasze postarunki znalazły się w głębokim cieniu drzew i to było dla nas korzystne. Po prostu byliśmy mniej widoczni.

Nie dawała mi spokoju myśl o wyczerpującej i nerwowej pracy naszych kolegów w gminie, a jednocześnie czułem wewnętrzne zadowolenie, że nasza akcja przebiegała pomyślnie. Przy tych rozmyślaniach czas jakby szybciej płynął, bo naraz z za ogrodzenia gminy wyszło dwóch mężczyzn – tak!, to nasi koledzy Pierwotny i Piorun. Szli raźno, w miłym nastroju. Na nas nawet nie zwrócili uwagi i udali się prosto w kierunku stacji Miłosna, jak było ustalone na odprawie. Chyba po minucie opuścili gminę Marysia i Figiel, którzy udali się na pobliski peron stacji Sulejówek. Następnie opuścił swój posterunek Kawka i udał się do Miłosny. Ja poszedłem na stację w ślad za Marysią, a jako ostatni poszedł na ten sam peron Burza, ale szedł od przeciwnej strony.

Będąc już na peronie, mimo woli przyciskałem stena i byłem zadowolony z pomyślnie dobiegającej końca akcji. Jednocześnie zdawałem sobie sprawę, że w każdej chwili pracownik gminy mógł podnieść alarm. Wprawdzie Marysia uspokoił nas na odprawie co do takiej sytuacji, ale przecież wszystko jest możliwe. Moje rozważania przerwał nagle sygnał pociągu odjeżdżającego z sąsiedniego przystanku Wola Grzybowska. Za trzy minuty będzie w Sulejówku, a więc do naszego odjazdu alarmu już nie będzie.

Miał rację nasz dowódca Marysia, kiedy powiedział, że chyba byłby samobójcą ten człowiek, podnosząc alarm po naszym wyjściu z gminy. Teraz, w maju 1944 roku, jest już zupełnie inna sytuacja. Duża

część konfidentów i innych donosicieli siedzi cicho. Nawet wśród Niemców są tacy, którzy chroniąc swoje życie udają, że nie widzą wielu rzeczy. Szala zwycięstwa przechyliła się mocno na naszą stronę. Wszyscy wokół wiedzą, że „leśni" nie żartują i jak zachodzi potrzeba, wymierzają sprawiedliwość. Dlatego człowiek ten podniesie alarm, bo inaczej mógłby przypłacić to życiem z rozkazu okupanta, ale dopiero wtedy, kiedy będzie pora przez nas wyznaczona, a więc w pół godziny po odjeździe najbliższego pociągu z Sulejówka w kierunku Warszawy. Uzgodnił to z nim osobiście Marysia. Prawie wszyscy w tym czasie byli już w domu, a poza tym zapadał już wieczór. Gdyby stało się inaczej, byliśmy i na to przygotowani i każdy wiedział, co ma robić. Wszystko jednak przebiegało zgodnie z planem.

Do pociągu, w którym było dość ciasno, wszedłem sam. Przy następnym wejściu był Marysia z Figlem. W Miłośnie, zgodnie z planem, wsiedli następni trzej koledzy i cały oddział był już w komplecie. W Halinowie wysiedli Marysia i Figiel, a w Dębem pozostali uczestnicy akcji.

Wracałem do domu z Pierwotnym, który dogonił mnie już za peronem. Był trochę zmęczony, bo zaraz powiedział – *niech to diabli wezmą!... nie wiedziałem, że papier jest tak trudny do darcia!* Potem, już całkowicie odprężeni, rozmawialiśmy na różne tematy, a rozstaliśmy się przy moim domu. Następnego dnia wieczorem spotkaliśmy się wszyscy u Komara na podsumowaniu akcji i oddaliśmy broń. Do tego czasu przechowywaliśmy ją w swoich podręcznych skrytkach. Kiedy zbliżałem się do mieszkania, pomyślałem w duchu – dobry dowódca, to i dobra robota.

I tak zakończyła się jeszcze jedna udana akcja przeciw okupantowi.

## Raport

**Cel akcji:**

- zniszczenie dokumentów w gminie Sulejówek, głównie związanych z ewidencją ludności, podatkami, kontygentami itp.

**Czas akcji:**

- 2 maja 1944, godz. 18.30, czas trwania akcji w budynku gminy około 40 min.

**W akcji uczestniczyli:**

- plutonowy Marysia i 6 żołnierzy: Figiel, Burza, Pierwotny, Piorun,

Kawka, Krzak.

**Akcją dowodził:**
- plutonowy Marysia.

**Rezultat akcji:**
- Dokumenty zniszczone przez podarcie i wymieszanie.

**Straty własne:**
- nie było.

**Leopold Woźnica ps. „Krzak" Tadeusz Kulmiński ps. „Figiel"**

# Akcja w gminie Okuniew

Po dość głośnej akcji w gminie Sulejówek, która odbyła się na początku maja 1944 roku i to w biały dzień, Niemcy byli wściekli, ale nie zastosowali żadnych represji. Przez parę dni mieszkańcy Sulejówka i okolicznych miejscowości podziwiali odwagę i opanowanie „leśnych". Jedni twierdzili, że akcję tę przeprowadziła grupa, składająca się przynajmniej z 20 osób, inni na własne oczy widzieli tylko czterech. Jedni i drudzy nie mieli tu racji, ale pewne było to, że każda taka akcja dodawała społeczeństwu odwagi i podnosiła bardzo na duchu, zaś okupantowi stwarzała wiele zamieszania i trudności w administrowaniu gospodarką.

Tymczasem ci nieuchwytni dla wroga młodzi ludzie przygotowywali się do następnych zadań. Widocznie dobrze się wywiązałem ze swego zadania w Sulejówku, ponieważ moi dowódcy wyznaczyli mnie do nowej akcji. Już dzisiaj nie pamiętam, jaki to był dzień tygodnia, ale na pewno wiem, że był to 13 maja 1944 roku. I choć nie jestem przesądny, trzynastka zapisała mi się mocno w pamięci. Tego dnia przed wieczorem otrzymałem od dowódcy drużyny, kaprala Cygana, rozkaz, abym o godzinie 22.00 stawił się z zaprzęgiem konnym u Komara.

Sprawa zaprzęgu konnego była uzgodniona ze mną już znacznie wcześniej, gdyż najczęściej my, młodzi, nie dysponowaliśmy ani koniem ani wozem. Taką sprawę należało każdorazowo omówić z rodzicami. Przecież koń i wóz w gospodarstwie to podstawa egzystencji, a oddanie całego zaprzęgu na akcję w terenie, to ogromne ryzyko. Pomimo to znajdowali się gospodarze, którzy chętnie oddawali ten środek lokomocji do naszej dyspozycji.

Na razie nie wiedziałem, jaka to będzie akcja i gdzie. Prawdę mówiąc, tego dnia byłem zmęczony, a jeszcze bardziej był zmęczony koń, gdyż od rana pracowaliśmy przy ciężkiej orce w polu, z krótką przerwą obiadową. Wszystko jednak schodziło na dalszy plan, kiedy trzeba było w takiej czy innej formie walczyć z wrogiem. Dlatego pospiesznie przygotowałem wszystko do drogi i o godzinie 22.00 byłem już u Komara. Martwiłem się trochę o konia, który nie został należycie nakarmiony, nie mówiąc już o jego zmęczeniu. To potem zemściło się i mieliśmy trochę kłopotów po drodze, ale do tego zagadnienia jeszcze powrócę.

U Komara była już cała grupa działania z plutonowym Marysią. Także była przygotowana już broń. Dowódca miał broń krótką, pozostali uczestnicy otrzymali steny i po dwa granaty obronne. Po paru minutach dowiedziałem się, że zaplanowana akcja to wywiezienie i zakopanie w odległym miejscu dokumentów z gminy w Okuniewie. Od razu się zorientowałem, że ta akcja będzie wymagała znacznego wysiłku i kilkunastu godzin czasu. Przemierzyłem w myśli odległości do przebycia. Od Wielgolasu do Okuniewa około 15 km, a droga powrotna około 20 km, ponieważ w lasach chobockich zostaną zakopane dokumenty. Łącznie około 35 do 40 km drogi, przeważnie miękkiej i piaszczystej na tak zwanym wozie – żeleźniaku (z metalowymi obręczami na kołach – przyp. red.). Dla nas, młodych ludzi, to wszystko fraszka, ale czy koń sprosta temu zadaniu? Ta myśl mnie martwiła, ale nic nie mówiłem na ten temat, bo po co wprowadzać elementy niepewności, tym bardziej, że nastrój wśród nas był pogodny, a chęć do działania ogromna.

Marysia omówił planowany przebieg całej akcji i przydzielił poszczególnym żołnierzom zadania, ale zrobił to w znacznie krótszym czasie niż przy akcji w Sulejówku. Działanie nocą mieliśmy bowiem bardzo dobrze opanowane. Po przydzieleniu zadań Marysia powiedział ze szczególnym naciskiem, że mamy niełatwe zadanie do wykonania, gdyż w Okuniewie znajduje się dość dobrze uzbrojony posterunek policji, a także posterunek żandarmerii niemieckiej. Dodał jednak, że tak jedni jak i drudzy nie są skorzy do walki w nocy. Gdyby sprawy przybrały inny obrót niż przewidywany, po prostu się wycofamy. Oczywiście nasze działanie rozpocznie się dopiero po przecięciu łączności telefonicznej z Okuniewem. Na zakończenie odprawy Marysia zwrócił się do mnie z pytaniem, czy zaprzęg konny jest sprawny do drogi. Odpowiedziałem, że wóz tak, ale koń jest zmęczony całodzienną orką. Musimy go więc oszczędzać, bo bez niego zadania nie wykonamy – stwierdził Marysia. Ostatnia wypowiedź dowódcy bardzo mnie podbudowała. Wiedziałem, że jest on bardzo dobrym dowódcą, ale tym razem pokazał, że jest także bardzo dobrym człowiekiem.

Po odprawie, która trwała około 20 minut, wyruszyliśmy w drogę. Jechaliśmy ubezpieczeni. Trzech żołnierzy szło przed wozem w odległości około 30 m, zachowując tak zwaną odległość wzrokową. Mój przydział czynności to kierowanie zaprzęgiem i dostosowywanie się do potrzeb w terenie. Przy wozie było nas na razie czterech, gdyż

Figiel dołączył do grupy po drodze. Był piękny i ciepły wieczór majowy, a z odległych łąk dopływało jakże różnomelodyjne rechotanie żab. Jechaliśmy stosunkowo wolno, najbliższą drogą do Okuniewa – przez Brzeziny, Halinów, Długą Kościelną i Długą Szlachecką. Przy przejeździe przez tory kolejowe dołączył do nas Figiel i od tej pory jechaliśmy już w pełnym składzie.

Odcinek drogi do Długiej Kościelnej był prawie wolny od pojazdów i pieszych. Dopiero w okolicach Długiej Kościelnej i Szlacheckiej ubezpieczający musieli chyba trzykrotnie położyć plackiem na ziemi kilku osobników, kręcących się po drodze. Jakaś grupka chyba udawała podpitych, bo na widok uzbrojonych mężczyzn szybko wytrzeźwieli i na rozkaz padli na ziemię, leżąc tak aż do przejazdu wozu. Takie postępowanie z napotkanymi w nocy, nieznającymi hasła ludźmi nakazane było przez bezpieczeństwo całego patrolu. W działaniu nocą czasem powstają zabawne sytuacje, ale tak to już wygląda partyzanckie życie.

Za wsią Długa Szlachecka pozostał nam jeszcze do przebycia ostatni odcinek drogi, biegnącej wśród pól i łąk. Była to znacznie lepsza droga, nie piaszczysta i nieco szybciej można było ją przebyć. Zbliżała się północ, ale do Okuniewa było jeszcze przynajmniej 3 km. Droga była całkowicie wolna i dlatego niemal w pełnym odprężeniu dojechaliśmy do tej położonej na uboczu miejscowości – Okuniewa. Połączenie z prawdziwego zdarzenia Okuniew miał tylko z Miłosną dzięki drodze utwardzonej o długości około 5 km, a pozostałe drogi były miękkie – niemal polne. Dlatego Niemcy mogliby przyjechać tylko od strony Miłosny, ale droga ta biegnie częściowo wśród lasów, a oni takich dróg unikali, szczególnie nocą. Stąd sprawa prawie pewna – będziemy mieli do czynienia tylko z miejscowymi posterunkami, o których już wspomniałem.

Dochodziła godzina 0.30, kiedy znaleźliśmy się w pobliżu gminy i posterunków. Zatrzymaliśmy się przy kościele. Sprężynka szybko wszedł na słup i przeciął połączenie telefoniczne. Teraz rozpoczęła się właściwa część akcji. Ja pozostałem przy naszym pojeździe, zaś cała siódemka oddaliła się pospiesznie na wyznaczone odcinki. Oba posterunki, znajdujące się blisko siebie, zostały otoczone i dowodził tu Pierwotny, do gminy zaś wdarł się Marysia z dwoma żołnierzami. Taki plan był ustalony na odprawie i tak to zostało wykonane. Tymczasem koń, który odczuł trudy drogi, posilał się spokojnie, ale wiele czasu na to nie miał. Ja natomiast ze stenem gotowym do

strzału obserwowałem wokół teren i nasłuchiwałem, czy przypadkiem nie rozpocznie się strzelanina. Mijały minuty, a ja czekałem na sygnał, kiedy mam podjechać pod gminę, do której było kilkadziesiąt metrów. Już od paru minut panowała cisza, którą przerywało szczekanie psów, dobiegające z gospodarstw rolnych, znajdujących się poza dość gęsto zabudowanym centrum Okuniewa. Cisza oznaczała prawidłowy przebieg akcji.

Po 15, a może 20 minutach otrzymałem sygnał i natychmiast ruszyłem pod gminę. Droga dojazdu była tu fatalna, gdyż musiałem jechać po tzw. kocich łbach. Już częściowo mieliśmy próbkę takiej jazdy, dobijając pod kościół. Żelazne obręcze wozu powodują przy jeździe po bruku potworny hałas i to nas trochę zdenerwowało. Liczyliśmy się z tym, ale nie myśleliśmy, że w ciszy nocnej ten hałas tak się spotęguje. Chyba trudno uwierzyć, że hałasu tego nie słyszał nikt w Okuniewie. Myślę, że na posterunku też go słyszano, ale nikt nie chciał zaryzykować i podjąć walkę w nocy z nieznanym przeciwnikiem. A może po prostu myślano, że przejechał ktoś z miejscowych gospodarzy. Tak czy inaczej, ten potworny hałas w środku nocy będzie słyszany jeszcze dwa razy. Zaraz, jak będę jechał pod gminę, i za kilkanaście minut, kiedy będziemy odjeżdżali z dokumentami. I rzeczywiście, za chwilę żelazne obręcze wozu tłukły o kamienie tak mocno, że w przyległych do rynku domach każdy chyba musiał się obudzić. Tylko teraz nie trzeba było przejmować się hałasem, bo sytuację mieliśmy opanowaną.

Po minucie czy może krócej byłem już pod gminą i tu zostałem zaskoczony stosem różnych ksiąg i dokumentów, które możliwie szybko powinny znaleźć się na wozie. We dwóch pospiesznie ładowaliśmy wyniesione z gminy materiały na wóz, a z budynku jeszcze były wynoszone maszyny do pisania, liczenia, powielacze i wiele innych materiałów, związanych z normalnym działaniem urzędu. Jak się potem dowiedziałem od kolegów, w urzędzie gminy poza stołami, szafami i krzesłami nic nie zostało. Kiedy zakończyliśmy załadowanie wozu, pot spływał mi z czoła, ale byłem zadowolony, że akcja pomyślnie dobiegała końca.

Kiedy po hałaśliwym odjeździe z gminy znaleźliśmy się na krańcu Okuniewa, Marysia wydał rozkaz, aby Krzak, Figiel i Kawka pod dowództwem Pierwotnego wykonali zadanie do końca zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami natomiast pozostali uczestnicy pod jego dowództwem pozostają na miejscu. Spotkanie wszystkich

uczestników akcji wyznaczył wieczorem u Komara. Po tym rozkazie wyznaczona czwórka, w której byłem i ja, odjechała. Zastanawiałem się, dlaczego dowódca tak postąpił. Także moi koledzy zaczęli się zastanawiać i doszliśmy do wniosku, że Marysia miał na uwadze dwie sprawy. Było już dosyć późno, bo dochodziła godzina 1.30, a więc za 2,5 godziny wstawało słońce. My będziemy dopiero wówczas w lesie zakopywać dokumenty. Powrót do domu w biały dzień ośmiu uzbrojonych młodych ludzi to duże ryzyko natomiast czterech łatwiej się będzie poruszało po drogach. Druga sprawa to możliwość ścigania nas. Marysia z trzema żołnierzami mógł ewentualny pościg udaremnić. Po prostu ubezpieczali nas jeszcze przez pewien czas. Jak było, dokładnie nie wiem, bo sprawa ta nigdy z Marysią nie była poruszana.

Teraz nasza droga biegła przez Długą Szlachecką, Długą Kościelną, Mrowiska i dalej do lasu chobockiego, a potem przez Krzewinę, Desno, Cisie do przejazdu przez tory kolejowe w pobliżu Dębego, następnie do szosy warszawskiej i do Wielgolasu. Ta droga miała około 20 km, przy czym jej połowa to jazda z obciążeniem ponad 400 kg. Jadąc podaną drogą nie napotykaliśmy na żadne przeszkody, nawet psy w gospodarstwach spokojnie spały nad ranem. Powstał jednak poważny problem, którego można się było spodziewać. Zbyt obciążony wóz i mocno zmęczony koń. Droga od Długiej Szlacheckiej była piaszczysta i nawet wypoczęty i dobrze nakarmiony koń miałby kłopoty z tym ciężarem na naprawdę kiepskiej drodze. Odpadała możliwość zakopania dokumentów gdzieś bliżej – łatwo mogły by być wykryte. Wypożyczyć we wsi konia – także niebezpieczna sprawa. Nie było innego wyjścia, jak tylko pomóc naszemu koniowi, ale w jaki sposób? Po prostu go nakarmić. Tak też zrobiliśmy, dokarmiając go świeżo wyrośniętym już żytem. Tego pokarmu było pod dostatkiem na polach. Robiąc kilkuminutowe przerwy i dokarmiając biedaka, dociągnęliśmy jakoś wspólnie ten bagaż do ustalonego miejsca w lesie. Teraz przyszła kolej na nas, a koń wypoczywał i posilał się przygotowanym zielonym pokarmem.

Już dobrze świtało, kiedy zaczęliśmy kopać dół na przywiezione dokumenty. Dół całkiem pokaźnych rozmiarów. Dwa metry długi, metr szeroki i półtora metra głęboki. Kopiąc po dwóch na zmiany porządnie się napracowaliśmy. Potem zniesienie bagażu do dołka i jeszcze zakopanie oraz zamaskowanie miejsca wykopu. Zanim to nastąpiło, Figiel poprosił o chwilę uwagi. Zrobił poważną minę

i zaśpiewał nad otwartym wykopem żałobną pieśń. Potem wszyscy uśmialiśmy się serdecznie i teoretycznie biorąc akcja była zakończona. W praktyce było nieco inaczej. Przed nami pozostało jeszcze do przebycia około 6 km niełatwej drogi. Na pewno odpadł nam kłopot z koniem, który trochę wypoczął i był nieźle nakarmiony, ale my byliśmy przecież uzbrojeni, zaś w wozie znajdowały się maszyny do pisania, liczenia, powielacz i inny sprzęt kancelaryjny, który będzie teraz służył i pracował dla podziemia.

Była już godzina 6 rano, słońce zawędrowało dość wysoko, a my strudzeni musieliśmy podjąć ważną decyzję. Wyruszać już w dalszą drogę, albo ukryć broń i wieziony sprzęt w lesie do zabrania go po paru dniach. Decydujący głos miał tu Pierwotny jako dowódca grupy. Po przeanalizowaniu sprawy kazał jechać dalej, pozostawiając w lesie tylko zakopane dokumenty. Musieliśmy przestawić się z nocy na dzień, kryjąc steny pod płaszczami. Ja przygotowałem na wozie solidne siedzenie, pod którym znajdowały się zabrane z gminy maszyny i wyruszyliśmy ustaloną drogą. Było już po 6, a więc pora dobra do jazdy, gdyż rozpoczął się już normalny ruch na drogach. Wielu rolników ciągnęło wozami na pola do prac wiosennych. Dlatego nasz wóz nie stanowił czegoś niezwykłego. W Cisiu pożegnał nas Figiel, ponieważ tu mieszkał i pozostało nas na wozie tylko trzech. Pomyślałem sobie, że Marysia postąpił bardzo dobrze, zostawiając na drogę powrotną tylko połowę uczestników akcji. Nie bardzo byśmy się teraz czuli, gdyby nas było siedmiu czy sześciu.

Jechaliśmy stosunkowo wolno i dopiero około 7.30 znaleźliśmy się przy najniebezpieczniejszym odcinku drogi. Musieliśmy przejechać prawie kilometr szosą, od przejazdu pod Dębem Wielkim w stronę Warszawy, aby następnie skręcić w lewo w zwyczajną wiejską drogę prowadzącą do Wielgolasu, skąd wczoraj wyjechaliśmy. Na szosie był średni ruch i tylko nasz główny pomocnik – koń – był zadowolony z tej drogi, gdyż lekko mu się jechało i nawet bez ponaglania biegł raźno kłusem. My natomiast przestawiliśmy się na wyjątkową czujność i byliśmy na wszystko gotowi. Może po dwóch minutach jazdy zauważyliśmy ciemny, ciężki niemiecki samochód, wypełniony wojskiem. W przypadku chęci zatrzymania nas postanowiliśmy pierwsi zaatakować, wyskakując z wozu do przydrożnego rowu. Dużych szans na przeżycie nie mielibyśmy, bo przewaga była duża, ale innego rozwiązania nie było. Na szczęście nie doszło do walki, bo samochód szybko minął nasz wóz, a my zbliżaliśmy się do ostatniego odcinka drogi – tak dobrze nam znanej już od lat dziecięcych.

Za kilka minut byliśmy już na podwórzu gospodarstwa Komara, starszego brata Pierwotnego, który serdecznie nas przywitał. Zaraz została schowana broń, a następnie wszystkie przywiezione przedmioty. Komar zapraszał wszystkich na śniadanie, ale z różnych względów wolałem odjechać do domu. Czułem, że rodzice bardzo się denerwują i tak rzeczywiście było. Kiedy wjechałem na podwórze naszego gospodarstwa, rodzice już na mnie czekali. Matka mnie całowała bez słów, a ojciec uścisnął po męsku dłoń. Ja natomiast powiedziałem – nasz kary zapracował na wolny dzień, zaś ojciec, głaszcząc konia, odpowiedział – nie tylko kary...

I tak zakończyła się moja ostatnia akcja tego typu, przeprowadzona pod dowództwem niezapomnianego plutonowego Marysi, który mógłby znacznie więcej na ten temat napisać, gdyby jeszcze żył. Myślę, że moi koledzy mi wybaczą, jeśli w tych wspomnieniach, pisanych po czterdziestu paru latach, wkradły się jakieś nieścisłości.

## Raport

**Cel akcji:**

- zniszczenie dokumentów w gminie Okuniew, przede wszystkim związanych z ewidencją ludności i gospodarką rolną.

**Czas akcji:**

- 14 maj 1944, godz. 0.30, czas trwania wewnątrz budynku - 40 min.

**W akcji uczestniczyli:**

- plut. Marysia plus 7 żołnierzy: Figiel, Sprężynka, Pierwotny, Kawka, Krzak i inni.

**Akcją dowodził:**

- plutonowy Marysia.

**Rezultat akcji:**

- wywieziono około 400 kg dokumentów które zakopano w lasach chobockich.

**Straty własne:**

- nie było.

**Leopold Woźnica-ps. „Krzak”**

# Przesłanie por. Jana Kowalskiego,
## dowódcy plutonu 763 Czwartej Kompanii AK III Rejonu „Dęby”

Hasło „Pamięć wiecznie żywa” słyszymy raz po raz. Jesteśmy winni pamięć o naszych bohaterach, których zna cała Polska, ale i tych lokalnych, których znają jedynie ich nieliczni krewni i ziomkowie. Przez wiele lat po wojnie nie wolno było mówić o Armii Krajowej, nazwanej przez sowiecki reżim „zaplutym karłem reakcji”. Przesłanie i zachętę do dalszego przekazywania pamięci o naszych lokalnych bohaterach z terenu dzisiejszej Gminy Halinów pozostawił nam por. Jan Kowalski ps. „Lis”, dowódca plutonu 763 IV Kompanii AK III Rejonu „Dęby” Rembertów. Na krótko przed śmiercią zakończył prace nad opracowaniem broszury „Czwarta kompania Rejon Dęby AK” wydanej w 1996 r. oraz filmu „Marysia” z serii „Tropy” reż. Blanki Danilewicz, wyemitowanego w TVP 2 w 1995 roku. Z tego dziedzictwa chcemy czerpać i je rozpowszechniać. Dlatego obecnie wznawiamy wydawnictwo broszury.

W filmie p.t. Marysia” Jan Kowalski mówi o bohaterstwie żołnierzy AK, działających w konspiracji w walce z niemieckim okupantem. Szczególnym bohaterem był bohater filmu Stanisław Grzelak ps. „Marysia”, wybitny organizator i przywódca drużyny realizującej akcje dywersyjne. Właśnie takich przywódców w pierwszej kolejności likwidowało NKWD, czyszcząc teren z „wichrzycieli” przed nadejściem sowieckiej władzy. Świadkowie historii oraz żołnierze AK z plutonu 763 mówią w filmie o kaźni Stanisława Grzelaka i innych żołnierzy AK więzionych i torturowanych, przesłuchiwanych dniami i nocami przez funkcjonariuszy NKWD, a także o losie zesłańców na ciężkie roboty do Związku Sowieckiego. Słyszymy tam m.in. o magazynierze broni Stanisławie Izdebskim ps. „Chaber”, zesłanym na 10 lat pracy w głąb Związku Radzieckiego, które w całości przepracował w głodzie i chłodzie. Po powrocie do domu przy wysokim wzroście ważył zaledwie 35 kg!

Stanisław Grzelak ps. „Marysia” został zamordowany w Wołominie w grudniu 1944 r. po przesłuchaniach i torturach przez sowieckich żołdaków SMERSZa na posterunkach NKWD w Cisiu i w Wołominie. Rodzina nie otrzymała nigdy potwierdzenia jego śmierci. Stanisław Grzelak nie ma grobu, jednak tak jemu jak

i pozostałym żołnierzom AK z plutonu 763 należy się „wieczna pamięć” - kamienny pomnik, który przemówi do ludzi, opowie im smutną, ale prawdziwą historię o okupacji niemieckiej i sowieckich „porządkach” w Polsce w latach 1939-1945 i w latach powojennych.

Broszura „Czwarta kompania” pokazuje nam listę żołnierzy AK plutonu 763 z terenu obecnej Gminy Halinów oraz opis pracy w konspiracji, w tym wykonania 9 akcji dywersyjnych, przeprowadzonych na terenie Halinowa, Konika, Wesołej oraz w urzędach okolicznych gmin, tj. w Pustelniku, Sulejówku i Okuniewie.

31 grudnia 2020 minęła 24. rocznica śmierci por. Jana Kowalskiego ps. „Lis”, organizatora i dowódcy plutonu 763 Czwartej Kompanii Rejonu Dęby Rembertów AK. Z tej okazji wspominamy por. Jana Kowalskiego i odwiedzamy jego grób na warszawskich Powązkach w kwaterze 263, gdzie spoczął u boku swej żony Hanny, sanitariuszki AK ps. „Sara”.

Jan Kowalski urodził się w Zastawiu (dzisiaj Kazimierów) 21 stycznia 1918 r. a zmarł 31 grudnia 1996 r. w Warszawie. Jako podchorąży z rocznika 1938/1939 brał udział w Wojnie Obronnej Września 1939 r. Dostał się do niewoli niemieckiej, z której udało mu się zbiec i wrócić do domu. W grudniu 1940 r. nawiązał kontakt z ppor. Ryszardem Rosiem z Krzewiny i wspólnie przystąpili do pracy podziemnej w ZWZ-AK, przyjmując pseudonimy „Lis” i „Bartosz”.

Po wojnie Jan Kowalski wraz z żoną Hanną z d. Domańska i synem mieszkał w Warszawie na Żoliborzu. Ukończył Wyższą Szkołę Inżynierską im. H. Wawelberga i S. Rotwanda. Przez wiele lat pracował jako nauczyciel i wychowawca młodzieży w Technikum Mechaniki Precyzyjnej na Grochowie. Jego dawni uczniowie na portalu „Nasza Klasa” mówią o nim „dusza człowiek” i „wspaniały nauczyciel”, zaś nauczyciele wspominają go jako wybitnego pedagoga i rzeczowego, sprawiedliwego przełożonego z czasów, kiedy był wicedyrektorem szkoły.

Jan Kowalski ps. „Lis” jako dowódca plutonu 763 AK jest bohaterem i ważną postaci historyczną dla mieszkańców Gminy Halinów. Jako dowódca 100 osobowego plutonu 763 żołnierzy Armii Krajowej, a później nauczyciel i pedagog podjął wiele intensywnych starań dla przekazania tutejszej ludności etosu walki ich przodków z niemieckim, a potem sowieckim najeźdźcą w czasie II wojny światowej.

Bohaterami są też Stanisław Grzelak ps. ”Marysia” i pozostali żołnierze z plutonu 763, których akcje dywersyjne opisane są również w książce Henryka Witkowskiego pt. „KEDYW” Okręgu warszawskiego Armii Krajowej w latach 1943-1944” a także w książce Mirosława Frankowskiego „Dawny Rembertów”. Tutejsi mieszkańcy, walczyli w podziemiu o własną Ojczyznę, o dobro swoich rodzin i o własną ziemię. Walczyli za cenę życia, które w każdej chwili mogli stracić. Najstarszym żołnierzem AK plutonu 763 była łączniczka, Małgorzata Izdebska ur. w 1902 r. matka Stanisława. Najmłodsi żołnierze to Stanisław Witkowski i Józef Przysowa z rocznika 1925.

Dziękujemy naszym przodkom za bohaterstwo, za tą solidarność i jedność Polaków, z których walki i postawy jesteśmy dziś dumni. Wielu z nich funkcjonariusze UB przesłuchiwali po wojnie w Urzędach Bezpieczeństwa. Niektórzy byli bici i szykanowani do czego publicznie nigdy się nie przyznali, obawiając się o los i życie swoich najbliższych. Zaangażowanie naszych przodków do walki z wrogiem w konspiracji za czasów niemieckiej okupacji w czasie II wojny światowej stanowi dla nas dziedzictwo i nakaz że mamy kochać Ojczyznę i dbać o Jej dobro, a w czasie niebezpieczeństwa być gotowym do Jej obrony.

Gminne Centrum Kultury Gminy Halinów wznawia w 2020 roku druk broszury „Czwarta kompania Rejon Dęby AK”. Dzięki temu mieszkańcy Gminy Halinów w drugim, trzecim i czwartym pokoleniu będą mieli możliwość poznać swoich lokalnych bohaterów, którym zawdzięczamy życie w wolnej Polsce. Stanie się to też niewątpliwie przyczynkiem do dalszych inicjatyw gminnych i społecznych, jak ogłoszenie w szkołach konkursów dla dzieci i młodzieży na komiks, piosenkę, wiersz lub opowiadanie związane z tematyką broszury, utworzenie międzyszkolnego koła przyjaciół żołnierzy AK, a także wzniesienie pomnika bohaterskim żołnierzom AK. Broszura „Czwarta Kompania Rejon Dęby AK” jest wymieniona jako źródło wiedzy o działaniach Armii Krajowej na 11. stronie książki „Obroża w konspiracji i Powstaniu Warszawskim” autorstwa Jacka Zygmunta Sawickiego.

Mamy nadzieję, że wznowiona broszura spotka się z dużym zainteresowaniem mieszkańców Gminy Halinów i okolicznych miejscowości.

Tekst:
Anna Dziemska, córka Stanisława Kozłowskiego, żołnierza AK ps. „Kłos”
Dariusz Kowalczyk, dyrektor GCK Halinów

Zdjęcie: Grób Jana Kowalskiego ps. Lis
i jego żony Hanny Kowalskiej z d. Domańska ps. „Sara"
Warszawskie Powązki kw. 263, rząd 2.
Foto na Powązkach: Anna Dziemska
Zdjęcie Jana Kowalskiego z filmu „Marysia" - zrzut z ekranu.
Fragment oryginalnej broszury z podpisem Jana Kowalskiego ps. Lis.
Egzemplarz nabyty przez Annę Dziemską na allegro.

## Podziękowanie

Dziękujemy p. Ryszardowi Raczyńskiemu, b. dyrektorowi Technikum Mechaniki Precyzyjnej i p. prof. Janinie Skrzędziejewskiej, polonistce za piękne wspomnienia o Janie Kowalskim, wicedyrektorze TMP na ul. Grochowskiej w Warszawie i za nadesłane zdjęcia.

## Ppor. obs. Witalis Brama
**(11.12.1913 - 02.04.1943)**

Absolwent SPPiech. w Ostrowi Mazowieckiej. Po jej ukończeniu i obowiązkowej praktyce w pułku piechoty zgłosił się na kurs obserwatorów w CWL-1 w Dęblinie. Później przeniesiony został do korpusu oficerów lotnictwa i wcielony do 2 Pułku Lotnictwa w Krakowie. Brał udział w Kampanii Wrześnio-wej w składzie 21 Eskadry Bombowej walczącej w składzie Brygady Bombowej. 7 września 1939 wystartował na lot bojowy z zadaniem rozpoznania rejonu na północ od Łodzi z załogą plut. pilot Mikołaj Zykow i kpr. strzelec Teofil Gara. W rejonie Rawy Mazowieckiej jego Karaś został zestrzelony przez niemieckiego myśliwca. Pilot zdołał wylądować w przygodnym terenie na postrzelanej maszynie i wraz ze strzelcem wrócili do eskadry. Ranny obserwator został umieszczony w szpitalu w Rawie Mazowieckiej.
Po wyleczeniu w 1940 roku podjął konspiracyjną służbę w ZWZ AK. W 1943 został aresztowany przez Gestapo i rozstrzelany. Pochowany na Cmentarzu Parafialnym Parafii p.w. św. Apostołów Piotra i Pawła w miejscowości Dębe Wielkie.
Biogram: Dominik Kościelny.
Zdjęcie nadesłała Wanda Elżbieta Papis,
siostrzenica.

## Wacław Sarniak ps. „Jaszczurka”
**(1913 – 2001)**

Żołnierz Kampanii Września 1939 r.
Uczestnik Bitwy pod Kockiem pod dowództwem gen. Kleeberga.
Zdjęcie nadesłała córka Urszula Zalewska.

## Stanisław Izdebski ps. „Chaber”
**(1920 -1985)**

Wspomnienie przekazała wnuczka Marzena: *“Tak jak jest napisane w poniższej broszurze, “Chaber” zabrał tajemnicę do grobu. Miałam 8 lat kiedy dziadek zmarł. Rzadko dzielił się swoimi przeżyciami. Wiem, że odsiedział całe 10 lat w sowieckim łagrze. Przeżył, bo miał zaprzyjaźnionego lekarza, od którego czasem dostał kartofla, a czasem zastrzyk wzmacniający... Gdy wrócił, ważył 35 kg, a był potężnym mężczyzną... Kiedy zmarł w 1985 roku, na pogrzeb przyszły setki ludzi. Wśród żałobników było wielu panów “w płaszczach i okularach” takie były czasy. Mieszkamy pod Cisiem, a koledzy zanieśli trumnę na ramionach do Długiej Kościelnej. Mówili, że umarł Polak...”*

Wspomnienie i zdjęcia przekazała wnuczka-
Marzena Szlassa-Dzienniak.

## Jan Sarniak ps. Paweł
**(1917 - 2000)**

Zdjęcie z czasów wojny, gdy był w AK i uczestniczył w tajnych kompletach dla studentów wydziału lekarskiego w Warszawie z przerwą na front 1942-1945. Po wojnie studiował na Akademii Medycznej w Warszawie i Łodzi, gdzie otrzymał dyplom lekarza.
Zdjęcie nadesłała córka- Joanna Gładyś.

Po wojnie był lekarzem wojskowym w Warszawie.
Zdjęcie nadesłała bratanica Urszula Zalewska.

## Stanisław Kozłowski ps. „Kłos”
**(1904 - 1959)**

Ochotnik wojny polsko bolszewickiej 1920r, żołnierz Kampanii Wrześniowej 1939 r. i uczestnik bitwy pod Kockiem pod dowództwem gen. Franciszka Kleeberga, w niewoli niemieckiej do lutego 1940r. Żołnierz AK.
Po wojnie pracownik ochrony (straży) Zakładów Mleczarskich w Warszawie.
Spoczywa na cmentarzu w parafialnym w Dębem Wielkim.
Zdjęcie nadesłała córka Anna Dziemska.

## Bolesław Papis ps. „Cygan”
**(1912 - 1991)**

Po wojnie wraz ze swym bratem Zygmuntem Papisem ps. Dzięcioł” (1921 - 2001) pracowali przy odgruzowaniu Warszawy, używając własnych koni i wozów. Następnie obydwaj pracowali w Warszawie w handlu detalicznym. Bolesław prowadził własny sklep, a Zygmunt był kierownikiem sklepu spółdzielczego.
Zdjęcie nadesłała córka Wanda Elżbieta Papis.

# Inne wspomnienia - dodatek

## Stefan Ciszkowski
## Pierwszy kierownik Szkoły Podstawowej w Brzezinach i żołnierz Armii Krajowej

Stefan Ciszkowski (13.12.1898 - 17.01.1951) był budowniczym i pierwszym kierownikiem szkoły w Brzezinach.

Co dała szkoła w okresie międzywojennym tej typowo chłopskiej, zgnębionej przez zabór carski okolicy?

Nauczyciele przynieśli oświatę i wskazali rolnikom perspektywę innych możliwości niż uprawa ziemi, czy hodowla zwierząt.

Wcześniej, świadomi swego słabego położenia chłopi dążyli do poprawy bytu dzieciom poprzez naukę i tak prędko jak tylko było to możliwe, a więc po odzyskaniu przez Polskę niepodległości podjęli starania o budowę szkoły w Brzezinach.

Umożliwiał im to Dekret z 7 lutego 1919 roku Józefa Piłsudskiego o obowiązku szkolnym, który wprowadzał siedmioletnie szkoły powszechne oraz ustanawiał obowiązek szkolny dla dzieci w wieku od 7 do 14 lat.

Obowiązek szkolny i bezpłatny dostęp do szkolnictwa podstawowego zagwarantowany został w konstytucji marcowej (17 marca 1921 r.) a 17 lutego 1922 roku uchwalono ustawę o zakładaniu i utrzymywaniu publicznych szkół powszechnych.

Zanim powstał budynek szkolny w Brzezinach, w latach 20. XX w. dzieci z Brzezin i okolic uczyły się w trzech brzezińskich domach należących do Jana Konowrockiego, Józefa Konowrockiego i Jana Bramy. W każdym z tych domów była jedna klasa.

Stefan Ciszkowski objął obowiązki kierownika szkoły w Brzezinach w drugiej połowie lat 20. XX wieku i początkowo zamieszkał wraz z żoną Teodozją (1900 - 1937), nauczycielką w domu Wawrzyńca Konowrockiego.

Współpracował z miejscowymi ludźmi przy wznoszeniu budynku szkolnego na kawałku gruntu, który ofiarowali pod budowę szkoły bracia Piotr i Franciszek Rosiowie.

Niewątpliwie w budowę szkoły włączyli się wszyscy mieszkańcy Brzezin, Wielgolasów, Golicy i Duchnowa.

Szkoła zaczęła funkcjonować na początku lat 30 XX wieku i obejmowała nauczaniem dzieci ze wsi Brzeziny, Wielgolas Duchnowski i Wielgolas Brzeziński, Duchnów i Golica.
Według wspomnień ks. Kazimierza Konowrockiego (1917 - 2005), naukę rozpoczął on w szkole w Halinowie, a od IV klasy już uczył się w Brzezinach w prywatnych domach, m. in. u swojego ojca Józefa i było trzech nauczycieli. Przypuszczalnie był to rok 1927.
Budynek szkolny zbudowany z czerwonej cegły powstał w latach 1930 - 1933 roku.
Z tej samej cegły przy szkole zbudowano równocześnie kapliczkę z figurą Matki Boskiej. Kapliczka ta, otynkowana podobnie jak rozbudowana szkoła stoi tam do dzisiaj.

Przedwojenni, powojenni uczniowie szkoły oraz uczniowie z czasu okupacji niemieckiej wspominają Stefana Ciszkowskiego jako człowieka o wielkiej kulturze osobistej, zaangażowanego w pracę, mówiącego pięknym językiem ojczystym.

Kierownik szkoły uczył dzieci m. in. języka polskiego i gramatyki. Jego uczniowie, dzisiaj w wieku 80 lat pamiętają go jako dobrego, wymagającego nauczyciela, ale także pamiętają wyuczone w szkole na pamięć wiersze, reguły gramatyczne itp.

Stefan Ciszkowski wraz z nauczycielami wprowadzali oświatę i kulturę języka ojczystego wśród miejscowej ludności rolniczej nie tylko poprzez nauczanie dzieci w szkole, ale także poprzez spotkania z mieszkańcami wsi.

Przed wojną oraz po wojnie w szkole organizowane były przez nauczycieli we współpracy z rodzicami festyny ludowe z zabawami tanecznymi i loterią fantową, amatorskie przedstawienia teatralne oraz jasełka, występy artystyczne dzieci.

Do programu szkolnego wprowadzone zostały na lekcjach śpiewu

i przedstawieniach szkolnych tańce ludowe regionalne i narodowe takie jak: trojak, kujawiak, polonez, pieśni i piosenki z Mazowsza, a także spoza folkloru mazowieckiego t.j. krakowskie, kaszubskie, śląskie a także pieśni patriotyczne.

Matki pod kierunkiem nauczycielek szyły stroje ludowe, potrzebne do występów dzieci na szkolnych przedstawieniach.

We wspomnieniach uczniów pozostaje też druga żona Stefana Ciszkowskiego, nauczycielka Sabina Ciszkowska (1902 - 1978), którą poślubił będąc wdowcem po śmierci pierwszej żony Teodozji.

W czasie okupacji niemieckiej w latach 1939 - 1945 zabronione było używanie podręczników, zakazane nauczanie historii, geografii i literatury polskiej. Stefan Ciszkowski kontynuował na miarę możliwości przedwojenny program nauczania. Uczniowie pamiętają, jak ostrzegał ich na każdej lekcji języka polskiego i nakazywał natychmiastowe wrzucanie książek za piec w wypadku ujrzenia przez okno nadchodzących Niemców.

Działalność Stefana Ciszkowskiego cechowało poczucie misji. Był bez wątpienia polskim inteligentem, który przyczynił się do wprowadzenia integracji miejscowej ludności poprzez udział rodziców w komitecie rodzicielskim i dyskusjach na zebraniach rodziców, ale także do wprowadzania kultury języka i obyczajów poprzez bezpośrednie spotkania z miejscową ludnością.

Ośrodek szkolny w Brzezinach powstał w wyniku pierwszych reform odrodzonej Polski. Kierowany przez Stefana Ciszkowskiego dawał tutejszym mieszkańcom poczucie wspólnoty i godności narodowej.

Już po wojnie, w latach 50. XX w. część uczniów Szkoły Podstawowej w Brzezinach po nauce na tajnych kompletach w Dębem Wielkim na poziomie gimnazjalnym, a następnie po nauce uzupełniającej i otrzymaniu matur w warszawskich liceach ukończyła studia na wyższych uczelniach.

Pierwszymi powojennymi absolwentami wyższych uczelni, wcześniejszymi uczniami Stefana Ciszkowskiego byli lekarze Wojciech Kozłowski z Wielgolasu i Wojciech Woźnica z Brzezin. Ukończyli oni studia na wydziale lekarskim Akademii Medycznej w Warszawie

w 1953 r. i otrzymali nakazy pracy na tzw. „ziemiach odzyskanych”. Wkrótce Politechnikę ukończył Jan Brama, a SGGW jego brat Stanisław Brama z Brzezin.

Powojenni absolwenci szkoły podstawowej w Brzezinach po uzyskaniu matury w liceach udawali się na studia w latach 60. i 70. XX w. w warszawskich wyższych uczelniach i w szkołach pomaturalnych. Większość uczniów jednak wybierała naukę w 3 - letnich zasadniczych szkołach zawodowych i 5 - letnich technikach zawodowych i na tym etapie kończyła swoją edukację.

Trzeba wspomnieć też o pierwszych przedwojennych absolwentach wyższych szkół, mieszkańcach Wielgolasu i Brzezin: Politechniki-Czesławie Woźnicy z Brzezin oraz SGGW - Aleksandrze Konowrockim z Brzezin, jak też o wybitnych księżach Janie Świtkowskim z Wielgolasu Duchnowskigo, który ma swoją ulicę w Kutnie, Henryku Konowrockim, więźniu i męczenniku ubeckich katowni, zasłużonym dla Sochaczewa i Kazimierzu Konowrockim z Brzezin, który ma swoje hasło w Wikipedii.

Kierownik szkoły w Brzezinach Stefan Ciszkowski w czasie okupacji niemieckiej był żołnierzem Armii Krajowej, działającej w konspiracji na terenie ówczesnej gminy Wiązowna i miał pseudonim „Wiesław”. Był dowódcą plutonu 782 w stopniu podporucznika, w oddziałach „Obroży”, w 3. kompanii IV Rejonu Otwock, kryptonim „Fromczyn”.
Pluton ten składał się z ok. 100 żołnierzy i brał udział w akcjach dywersyjnych opisanych w książkach takich jak: „Obroża” w konspiracji i Powstaniu Warszawskim oraz „KEDYW” Okręgu Warszawskiego Armii Krajowej w latach 1943 -1944.
Listę imienną żołnierzy AK z terenu z terenu gminy Wiązowna oraz opis akcji dywersyjnych możemy znaleźć w książce „Wiązowna 1597-1997. Kartki z dziejów” pod red. p. Krzysztofa Oktabińskiego.

Stefan Ciszkowski był ojcem 5 dzieci, 4 synów i córki, z których córka Jadwiga i syn Andrzej, wieloletni leśniczy w Gminie Halinów żyją do dzisiaj. Natomiast wnuk Adam Ciszkowski od dziesięciu lat jest burmistrzem Halinowa.

Ceniony nauczyciel Stefan Ciszkowski zginął w sile wieku w wypadku drogowym w drodze powrotnej z pracy, ze szkoły w Brzezinach do domu w Halinowie w 1951 roku.

Szkoła w Brzezinach, której pierwszym kierownikiem i budowniczym był Stefan Ciszkowski, otrzymała w roku 2007 staraniem jego kolejnego następcy Marka Nowickiego imię „VII Obwodu AK Obroża".

Grób niezapomnianego, pierwszego kierownika szkoły w Brzezinach znajduje się na cmentarzu parafii św. Anny w Długiej Kościelnej.

Opracowała: Anna Dziemska.
Zdjęcia udostępnione przez Andrzeja Ciszkowskiego.

Źródła:
1/ własne

2/ rozmowy z absolwentami Szkoły Podstawowej w Brzezinach oraz ich dziećmi, m. in. Genowefą Kozłowską z Wielgolasu Duchnowskiego, Andrzejem Konowrockim z Warszawy i Witoldem Kozłowskim z Warszawy.

3/ Ks. Kazimierz Konowrocki, 60 lat mojego kapłaństwa w czasach niełatwych (1943–2003), Paprotnia 2003.

Fotografia z 1949 r. wycieczka do warszawskiego ZOO.
W środku kierownik Stefan Ciszkowski z synem Andrzejem.

**Zdjęcia Stefana Ciszkowskiego z czasów służby wojskowej.**

Z archiwum syna Stefana Ciszkowskiego – Andrzeja

## ZAŁĄCZNIKI

# Spis imienny 763 plutonu IV kompanii 2 batalionu III Rejonu „Dęby” (Rembertów) VII Obwodu Armii Krajowej „Obroża” (Warszawa-powiat)

| l.p. | Imię i nazwisko | Pseud. | Rok ur. | St. wojsk. | Funkcja | M. zam. |
|---|---|---|---|---|---|---|
| 1 | Jan Kowalski | Lis | 1918 | pl. pchor/por. | D-ca 763 plut. | Halinów |
| 2 | Stefan Roś | Wiarus | 1909 | plut. | d-ca drużyny | Krzewina |
| 3 | Stefan Chrzanowski | Sęk | 1906 | st. szer. | sekcyjny | Zastawie |
| 4 | Małgorzata Izdebska | Cicha | 1902 | szer. | łącznik | Krzewina |
| 5 | Stanisław Izdebski | Chaber | 1920 | szer. | mag. broni | Krzewina |
| 6 | Stanisław Kostka | Bocian | 1914 | kpr. | - | Mrowiska |
| 7 | Henryk Kowalski | Skała | 1914 | st. szer. | - | Halinów |
| 8 | Piotr Kowalski | Grot | 1923 | szer. | - | Zastawie |
| 9 | Aleks . Kowalczyk | Kosa | 1910 | kpr. | - | Krzewina |
| 10 | Józef Kowalczyk | NN | 1907 | szer. | - | Krzewina |
| 11 | Józef Miłosz | Biały | 1911 | plut. | dysp. KG AK | Krzewina |
| 12 | Jan Miśka | Liść | 1909 | szer. | - | Zastawie |
| 13 | Stanisław Miśka | Bakulik | 1914 | szer. | - | Zastawie |
| 14 | Jan Nowicki | Jaśmin | 1908 | st. szer. | - | Mrowiska |
| 15 | Józef Ostrowski | Mateusz | 1907 | ogniom. | spec. szkol. | Mrowiska |
| 16 | Henryk Roś | Młodzik | 1924 | sze./kpt. MO | - | Krzewina |
| 17 | Jan Siporski | Wilk | 1907 | kpr. | sekcyjny | Krzewina |
| 18 | Józef Wojdyga | Sum | 1912 | kpr. | sekcyjny | Mrowiska |
| 19 | Józef Znaniecki | Klon | 1918 | szer. | - | Zastawie |
| 20 | Stanisław Grzelak | Marysia | 1912 | kpr. | D-ca ODB | Żwirówka |
| 21 | Antoni Grzelak | Genia | 1905 | st. szer. | sekcyjny | Cisie |
| 22 | Henryk Grzelak | Szczupak | 1917 | szer. | - | Żwirówka |
| 23 | Antoni Komorowski | NN | 1908 | szer. | - | Cisie |
| 24 | Józef Komorowski | Grom | 1912 | szer. | - | Cisie |
| 25 | Jan Kulmiński | Oczko | 1901 | st. szer. | - | Cisie |
| 26 | Czesław Kutrowski | Platynowy | 1909 | plut. | sekcyjny sap. | Desno |
| 27 | Edward Parkot | Piorun | 1912 | kpr. | sekcyjny | Desno |

| | | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|
| 28 | Stanisław Parkot | Wichura | 1905 | plut. | rusznikarz | Desno |
| 29 | Stanisław Polkowski | NN | 1912 | szer. | - | Cisie |
| 30 | Jan Sarniak | Paweł | 1917 | sz/płk. LWP | sanit. plutonu | Cisie |
| 31 | Wacław Sarniak | Jaszczurka | 1913 | szer. | | Cisie |
| 32 | Józef Słodownik | Sprężynka | 1923 | szer. | | Cisie |
| 33 | Zygmunt Szulc | Wilk | 1908 | szer. | łącznik | Żwirówka |
| 34 | Bolesław Papis | Cygan | 1912 | kpr. | d-ca druż. | Wielg. Du. |
| 35 | Jan Brama | NN | 1917 | st.szer. | sekcyjny | Wielg. Du. |
| 36 | Jan Gańko | NN | 1914 | szer. | - | Brzeziny |
| 37 | Jan Gańko | Tygrys | 1921 | szer. | - | Wielg. Du. |
| 38 | Zygmunt Gąsiecki | NN | 1904 | szer. | - | Brzeziny |
| 39 | Stanisław Główka | Komar | 1908 | st.szer. | sekcyjny | Wielg. Du. |
| 40 | Halina Jancewicz | Magda | 1924 | szer. | łączniczka | Wielg. Du. |
| 41 | Stanisław Konowrocki | NN | 1908 | szer. | - | Wielg. Du. |
| 42 | Stanisław Kozłowski | Kłos | 1904 | st.szer. | sekcyjny | Wielg. Du. |
| 43 | Eugeniusz Krawczyk | Struś | 1921 | szer. | - | Wielg. Du. |
| 44 | Stefan Ostrowski | NN | 1912 | szer. | - | Wielg. Du. |
| 45 | Zygmunt Papis | Dzięcioł | 1921 | szer. | - | Wielg. Du. |
| 46 | Henryk Piotrkowicz | NN | 1914 | szer. | - | Wielg. Brzez. |
| 47 | Wacław Rafał | Zając | 1922 | szer./kpt. SW | - | Wielg. Du. |
| 48 | Jan Szczęsny | Sęp | 1919 | szer. | - | Wielg. Brzez. |
| 49 | Czesław Szostak | NN | 1912 | szer. | - | Wielg. Du. |
| 50 | Józef Świtkowski | Kuna | 1922 | szer. | - | Wielg. Du. |
| 51 | Henryk Trębicki | Śmiały | 1919 | szer. | - | Wielg. Du. |
| 52 | Jan Witkowski | Mickiewicz | 1922 | szer. | - | Wielg. Du. |
| 53 | Stanisław Witkowski | Zuch | 1925 | szer. | - | Wielg. Du. |
| 54 | Franciszek Woźnica | NN | 1905 | szer. | - | Wielg. Du. |
| 55 | Leopold Woźnica | Krzak | 1923 | szer. | m.m. wybuch. | Wielg. Du. |
| 56 | Jan Cacko | Burza | 1924 | szer. | - | Wielg. Du. |
| 57 | Wiktor Główka | Pierwotny | 1922 | szer./kpr. | z-ca dow. ODB | Wielg. Du. |
| 58 | Tadeusz Kulmiński | Figiel | 1924 | szer. | - | Cisie |
| 59 | Zygmunt Opejda | Piorun | 1924 | szer./kpr. | - | Wielg. Brzez. |
| 60 | Józef Przysowa | Kawka | 1925 | szer. | - | Wielg. Du. |

## Sekcja sanitarna

## (podległa bezpośrednio dowódcy IV kompanii)
## Stan z lipca 1944 r.

| l.p. | Imię i nazwisko | Pseud. | Rok ur. | St. wojsk. | Funkcja | M. zam. |
|---|---|---|---|---|---|---|
| 1 | Aleksandra Roś | Ewa | 1920 | sanitariuszka | Kom. sekcji | Mrowiska |
| 2 | Longina Głowacka | Sowa | 1919 | sanitariuszka | - | Dł. Koście. |
| 3 | Halina Kalinowska | Wiktoria | 1919 | sanitariuszka | - | Dł. Koście. |
| 4 | Hanna Kowalska | Rosa | 1919 | sanitariuszka | - | Halinów |
| 5 | Aleksand. Ostrowska | Róża | 1903 | sanitariuszka | - | Mrowiska |
| 6 | Wan. Paszczykowska | Kora | 1887 | sanitariuszka | - | Halinów |
| 7 | Halina Szulc | Lena | 1913 | sanitariuszka | - | Żwirówka |

## UWAGI

Pluton 763 rekrutował się z miejscowości: Brzeziny, Cisie, Desno, Halinów, Krzewina, Mrowiska, Wielgolas Brzeziński, Wielgolas Duchnowski, Zastawie, Żwirówka.

Stan liczbowy plutonu wynosił:

Dowódca - 1 podchorąży

drużyna 1 - 18 podoficerów i żołnierzy

drużyna 2 - 12 podoficerów i żołnierzy

drużyna 3 - 18 podoficerów i żołnierzy

sekcja saperska - 5 żołnierzy

oddział dywersji bojowej - 6 żołnierzy.

Łącznie pluton liczył (wraz z dowódcą) 60 żołnierzy.

Od czerwca 1943 roku oddział dywersji bojowej (ODB) podlegał bezpośrednio dowódcy pułku Rejonu III „Dęby" w Rembertowie. Dowódcą tego oddziału był kpr. Stanisław Grzelak ps. „Marysia", który był jednocześnie dowódcą 2 drużyny w 763 plutonie.

Jan Kowalski ps. „Lis" w 1944 roku aresztowany przez NKWD był więziony w Aninie i Otwocku, a następnie skierowany do LWP.

Stanisław Izdebski ps. „Chaber" w 1945 roku aresztowany przez NKWD i skazany w Wołominie na 10 lat robót w ZSRR.

Józef Miłosz ps. „Biały" jako wysokiej klasy radiotelegrafista we wrześniu 1943 roku został oddelegowany do dyspozycji KG AK gdzie pracował do końca powstania.

Józef Ostrowski ps. „Mateusz" w 1944 roku aresztowany przez NKWD był więziony w Otwocku i skierowany do LWP.

Józef Wojdyga ps. „Sum" w 1944 roku aresztowany przez NKWD był więziony w Otwocku i skierowany do LWP.

Józef Znaniecki ps. „Klon" w 1945 roku aresztowany przez NKWD i skazany na 2 lata robót na Syberii.

Stanisław Grzelak ps. „Marysia" w 1945 roku aresztowany przez NKWD został stracony w Wołominie w nieznanych okolicznościach.

Henryk Grzelak ps. „Szczupak” w 1947 roku zatrzymany przez UB i przesłuchiwany w Warszawie.

Jan Sarniak ps. „Paweł” w 1944 roku aresztowany przez NKWD był więziony w Otwocku i skierowany do LWP.

Zygmunt Szulc ps. „Wilk” w roku 1946 zatrzymany przez UB i przesłuchiwany w Warszawie.

Stanisław Główka ps. „Komar” od roku 1946 do 1956 pracował w UB w Mińsku Mazowieckim i w Warszawie.

Eugeniusz Krawczyk ps. „Struś” w roku 1946 aresztowany przez UB i więziony przez 3 miesiące w Mińsku Mazowieckim i w Warszawie.

Henryk Trębicki ps. „Śmiały” w roku 1945 został zastrzelony przez Niemców w Mińsku Mazowieckim.

Leopold Woźnica ps. „Krzak” w roku 1955 zatrzymany przez UB i przesłuchiwany w Otwocku i w Warszawie.

Wiktor Główka ps. „Pierwotny” ścigany przez NKWD i UB w roku 1944 wstąpił do LWP.

Tadeusz Kulmiński ps. „Figiel” w roku 1944 aresztowany przez NKWD zbiegł i ukrywał się przez parę lat.

Zygmunt Opejda ps. „Piorun” w roku 1944 aresztowany przez NKWD był więziony na Majdanku. Zbiegł z transportu do ZSRR.

Hanna Kowalska ps. „Rosa” w roku 1944 zatrzymana przez NKWD i przesłuchiwana w Aninie.

# INDEKS NAZWISK


Cacko Jan ps. „Burza” str. 19, 68, 69, 70, 71, 87

Chodkowski Stanisław ps. „Góral” str. 20, 29

Chrzanowski Stefan ps. „Sęk” str. 44, 86

Główka Stanisław ps. „Komar” str. 31, 33, 54, 56, 59, 60, 67, 71, 73, 74, 77, 79, 87, 90

Główka Wiktor ps. „Pierwotny” str. 19, 57, 58, 59, 60, 65, 67, 68, 69, 70, 71, 75, 78, 79, 87, 90

Grzelak Henryk ps. „Szczupak” str. 19, 52, 53, 65, 86, 90

Grzelak Stanisław ps. „Marysia” str. 16, 17, 18, 21, 25, 39, 40, 41, 42, 55, 61, 62, 63, 64, 65, 66, 67, 68, 69, 70, 71, 74, 75, 76, 77, 78, 79, 80, 82, 86, 89

Izdebska Małgorzata ps. „Cicha” str. 14, 19, 27, 86

Izdebski Stanisław ps. „Chaber” str. 19, 27, 40, 42, 47, 80, 84, 86, 89

Jankowski ..... ? (nauczyciel) str. 13

Komorowski Józef ps. „Grom” str. 86

Konowrocki Stanisław ps. „Bystry” str. 31

Kowalski Jan ps. „Lis” str . 7, 9, 11, 15, 20, 26, 33, 35, 38, 39, 42, 43, 44, 45, 47, 80, 81, 82, 86, 89

Kowalski Piotr ps. „Grot” str. 36, 43, 46, 47, 86

Kostka Stanisław ps. „Bocian” str. 45, 47, 51, 86

Kozłowski Stanisław ps. „Kłos” str. 33, 85, 87

Krawczyk Eugeniusz ps. „Struś” str. 56, 59, 60, 87, 90

Książek Henryk ps. „Słoń” str. 15, 16, 17, 20

Kulmiński Tadeusz ps. „Figiel” str. 19, 65, 68, 69, 70, 71, 72, 75, 76, 77, 78, 79, 87, 90

Kutrowski Czesław ps. „Platynowy” str. 19, 32, 87

Lipczyński .....? ps. „Ostoja” str. 17, 24, 25

Miłosz Józef ps. „Biały” str. 18, 59, 86, 89

Miśka Stanisław ps. „Bakulik” str. 39, 41, 42, 86

Opejda Zygmunt ps. „Piorun” str. 19

Ostrowski Józef ps. „Mateusz” str. 14, 27, 28, 86, 89

Papis Bolesław ps. „Cygan” str. 15, 18, 19, 21, 22, 23, 34, 60, 65, 67, 73, 85, 87

Papis Zygmunt ps. „Dzięcioł” str. 19, 21, 33, 85, 87

Parkot Stanisław ps. „Wichura” str. 19, 28, 48, 49, 50, 51, 52, 87

Parkot Edward ps. „Piorun” str. 48, 50, 52, 65, 68, 69, 70, 71, 87, 90

Paszczykowski Władysław ps. „Luśnia” str. 16, 39

Przysowa Józef ps. „Kawka” str. 19, 69, 70, 72, 76, 79, 87

Rainke .... ps. ? (dentysta) str. 13

Roś Ryszard ps. „Bartosz” str. 11, 15, 16, 17, 24, 25, 27, 29, 35, 36, 37, 39, 40, 41, 42, 43, 44, 45, 47, 54, 81

Roś Stefan ps. „Wiarus” str. 15, 16, 19, 21, 23, 32, 35, 36, 37, 43, 45, 47, 86

Słodownik Józef ps. „Sprężynka” str. 65, 75, 79, 87

Szulc Zygmunt ps. „Wilk” str. 14, 19, 20, 30, 32, 36, 43, 45, 47, 86, 87, 90

Świtkowski Aleksander (rolnik) str. 59, 87

Wojdyga Józef ps. „Sum” str. 36, 86, 89

Woźnica Leopold ps. „Krzak” str. 19, 31, 32, 33, 66, 69, 72, 76, 79, 87, 90

Woźnica Józef (rolnik) str. 59

Wysocki Józef ps. ? (gajowy) str. 50

Znaniecki Józef ps. „Klon” str. 36, 39, 42, 86, 89

# SPIS TREŚCI


| | |
|---|---|
| Jak to się zaczęło | 7 |
| Drodzy mieszkańcy gminy Halinów | 9 |
| Od Wydawcy | 11 |
| Słowo wstępne | 13 |
| Konspiracyjne spotkania | 21 |
| Bibuła i łączność | 27 |
| Szkolenia | 31 |
| Akcja na torach | 35 |
| Akcja z flagą w Halinowie | 39 |
| Akcja w gminie w Pustelniku | 43 |
| Transport broni z Wesołej | 48 |
| Ubezpieczenie oddziału specjalnego | 54 |
| Zniszczenie zlewni mleka | 61 |
| Akcje w urzędach gminnych | 66 |
| Akcja w gminie Sulejówek | 67 |
| Akcja w gminie Okuniew | 73 |
| Przesłanie por. Jana Kowalskiego | 80 |
| Inne wspomnienia - dodatek | 87 |
| Załączniki | 93 |
| Uwagi | 96 |
| Indeks nazwisk | 98 |